

3

PLACÓWKA

ILUSTRACJA POLSKA

ZESZYT XXII—XXIII

Cena zeszytu Mk. 30.—

GRUDZIEŃ 1920 R.

ROK IX. WARSZAWA, DNIA 20 GRUDNIA 1920 ROKU. ZESZYT XXII—XXIII.

PLACÓWKA
Ilustracja Polska
DWUTYGODNIK

Ignacy Grabowski.

BILANS.

Na okienku zakratowanem więźnia usiadł ptak wolności. Więzień wyciągnął ku niemu ręce; kraty skruszyły się jak zjedzone rdzą, więzień był wolny. Ptak wolności usiadł na jego ramieniu.

„Głodny jestem, bo ciężką walką strudzon, nakarmij mnie białą pszenicą."

Lecz wyzwoleniec nie uczynił tego. Wziął ptaka brutalnie w ręce i zaczął się mu przyglądać. Podobały mu się piękne, różnobarwne pióra ptaka. Więc jął je wyrywać i przystrajać niemi swój kapelusz. Stawał przed zwierciadłem i przyglądał się swej gęstej minie.

„Nie wyrywaj mi piór, o czem będę latał"?— jęknął żałośnie ptak. Ale wyzwoleniec rozbawiony nie słuchał. Więc ptak jednem szarpnięciem skrzydeł wyrwał się i odleciał. Wyzwoleniec wyciągnął za ulatującym ramiona. Jego dłonie obiły się o kraty. W oknie były już żelaza. Wyzwoleniec stał się znowu więźniem.

— — — — — — — — — — —

Jeżeli ma się mówić poważnie, bez gestów papkinowych, wolność owinęła się około Polski, jak sztandar około Zagłoby — ktoś zrobił porównanie trafne. Zasługa około samej istoty wyzwolenia była mikroskopijna, czyn wyzwoleńczy nietylko całkiem nikły, ale często nawet samobójczy, strzelanie we własną pierś. Ale zasługa, zapracowanie na istnienie wolne mogło się było rozpocząć później, gdy straż więzienna uciekła. W tej to chwili rozpoczyna się już historja odpowiedzialna. Za dwa lata, za rok 1919 i 1920 odpowiedzialni jesteśmy już my Polacy sami. Win niepodobna już zwalać na coś nazewnątrz, na Europę. Jest nas dwadzieścia pięć miljonów z kulturą dziesięciu stuleci i z bogatym przekazem historycznym. Czechów jest co najmniej trzy razy mniej, nie będziemy liczyli takich lilipucich narodków jak litwini, łotysze, estończycy byłych zgoła bez samodzielnego życia dziejowego. Jednakże te narody potrafiły uporządkować się na wewnątrz bodaj lepiej niż Polska.

Możnaby na to odrzec, że istnieniu tych drobnych państewek narazie nic nie przeszkodzi, albowiem to istnienie nie zagraża interesom wielorybów europejskich, jak np. Anglików i Niemców. Przeciwnie, wieloryby mogą nawet umyślnie hodować i do pewnego stopnia nawet tuczyć płotki, aby je potem z łatwością i bez odporu połknąć. Tymczasem nanowo powstanie Polski, to zasadnicza zmiana w stosunkach politycznych wszechświatowych, to rodzaj trzęsienia, kataklizmu, po jakim trzeba uprzątnąć wiele gruzów, aby przywrócić kulturę. To jest prawda. Przedewszystkiem apriorycznie, nawet bez śledzenia wypadków, można było mieć pewność, że Niemcy dołożą wszelkich starań i sposobów, aby dowieść, że nowopowstające duże państwo, ich kosztem głównie utworzone, nie posiada dość sił intelektualno-organizacyjnych, aby swój ład wewnętrzny utrzymać: Taka być musi idea główna Niemców, a wiemy, że jest to naród, który umie chcieć nawet wtedy, gdy cele są fantastyczne, nie do osiągnięcia. Nadłamie karku, ale walczy.

— — — — — — — — — — —

Polska, przez ubiegłe lat dwa rozporządzalności sama sobą, miała kilka pięknych odruchów, wykazujących istnienie sił ukrytych narodu. Krwawe wyzwolenie Poznania, bohaterska obrona Lwowa, poważna zdecydowana postawa Warszawy i bój armji ochotniczej w chwili natarcia bolszewików, sierpniowe powstanie Ślązka, epizody z Płocka i z Łomży, a i z innych zakątków, mniej rozgłoszone, dowodzą o rzeczywistem istnieniu podziemnego ognia narodowego, który w chwilach krytycznych uka-

zuje się na powierzchni. Jednakże zapłonie ów ogień na chwilę i za chwilę znowu się schował. Znowu ta sama atmosfera mglista, w której wszystko wydaje się za duże albo za małe, a nie takie, jak jest w normalnem oświetleniu słonecznem, atmosfera, w której niepodobna nic wymierzyć, ani odważyć. To co nazywamy techniką życia staje się fantastyczno-naiwne.

Powiew nihilizmu i to nawet nie powiew, ale wyraźny wiatr wieje nad Polską, chociaż ludzie o mózgach strusich, eufemicznie nazywający samych siebie optymistami, świadczą się przeszłością Polski i wątpliwym argumentem, że u nas nigdy nihilizmu nie było. Oczywiście bolszewizm rosyjski nigdy nie będzie polskim, a mógłby być narzucony jedynie drogą podboju narodowego, ale płonki nihilistyczne były zawsze i są, rozkwitają w chwili obecnej, bujniej lub słabiej, na całym świecie. W Polsce nihilizm urósł już na całe drzewo. Ma on już swoistą pogodę i humor, ale w stosunku do techniki życia cywilizowanego działa mniej więcej w takim samym kierunku, jak bolszewizm moskiewski. Brak miary i wagi, pogarda dla proporcji, oto cechy nihilizmu wogóle. Wszystko albo nic, więc w skutku nic, wieczne nic!

Niewątpliwie we krwi polskiej jest dużo popędu szlachetnego, a on jest ojcem pięknych odruchów. Ogół polski wie zawsze dobrze, czego ma nie chcieć czyli w bierności, w negacji jest zawsze silny. Opozycja półtorastuletnim zaborom żyła tą cechą. Ale w chwili, gdy trzeba określić „co się chce", powstają takie spory i kłótnie, że z żądania „wszystkiego" rodzi się „nie". To nie jest nic innego, jak nihilizm. Oby mnie wypadki przekonały że tak nie jest. Ów bilans wyzwoleńca za ubiegłe dwa lata, po za ogromnym wpływem knowań niemieckich, był dziełem rodzimego polskiego nihilizmu, który wiał nie tylko od Rosji, ale mieszkał i w takiej dzielnicy Polski, gdzie nie było nigdy styczności z Moskwą, np. w Krakowie. Knowania niemieckie nie mogły znaleźć lepszego choć nieświadomego sprzymierzeńca, niż taką cechę umysłu. Zagrzewały więc wesołego nihilistę polskiego do rozwijania absurdów, dopóki nie dojdzie do muru rzeczywistości i uderzywszy się głową o kamień nie spostrzeże zapóźno, że znalazł się w więzieniu.

— — — — — — — — — — — —

Nihilizm polski wystawił dwa sztandary: „etatyzm" czyli wszechwładzę państwa i „lud" czyli komunizm, hasła stare jak świat, zawsze na widownię dziejową występujące, gdy inteligencja rządząca straciła wyższy rozum, więc sankcję naturalną swej władzy. Te hasła wcielano kolejno.

Naprzód puszczono w ruch „państwowość". To wykonali ludzie z Galicji, gdzie trening austrjacki wytworzył doskonałe biurokratyczne ésspris de corps. Przyszli gotowi, zbrojni w cynizm i w solidarność. Z łatwością narzucili społeczeństwu, temu społeczeństwu, które w dziewięciu dziesiątych składa się z analfabetów, nie zdolnych objąć innego horyzontu ponad gminę lub parafję, nakaz niby patrjotyczny; „nie sprzeciwiać się państwu, to jest nam, niema społeczeństwa, jest państwo". Co za żniwa! rzeczywiście nowe życie. Habsburgowie karmili swoją psiarnię polską chudo, a tutaj sakwa polska, ojczysta, bez kontroli, szeroka, ogromna. Powinowactwem z doboru ściągają się razem wszyscy podobni. Pierwsza tworzy się w Polsce komuna urzędnicza, dziesięćkroć liczniejsza ponad potrzeby urzędów, suto uposażona w artykuły raju ziemskiego. Komuna kocha monopole. Społeczeństwo—niepotrzebne, inicjatywa prywatna jest wyzyskiem ludu, zatem walka z inicjatywą w imię dobra „silnej Polski". Przedsiębiorczość ludzi twórczych? niszczyć rekinów, od czegóż my, nasz zastęp półmiljonowy?

Kto w podszeptach i w pomocy do urzeczywistnień takiego programu, grał rolę pierwszą, niemcy czy żydzi, rzec trudno. I jedni i drudzy mieli w tem gruby interes, pierwsi — polityczny, drudzy ekonomiczny. Zabijanie przedsiębiorstw nieżydowskich jest za ponętne, aby nie korzystać ze sposobności.

Hasło „państwowości" dopięło celu całkiem efektownie. Współdziałało mocno ogromnemu zmniejszeniu wytwórstwa rolnego w czasie, gdy zboże jest wartością najcenniejszą, zatrzymało rozwój przemysłu, zniszczyło handel normalny, doprowadziło do ubezwartościowania waluty polskiej. W tej chwili to tak cacane „państwo" nie może prowadzić innego handlu, jak zamienny, to jest surowcami. Samo nie wytwarza nic, ściśle według programu maksymalnego: „wszystko albo nic". Pereat vita, fiat maxima!".

— — — — — — — — — — — —

Równie dzielnie spisał się i drugi sztandar nihilizmu: z hasłem „lud", czytaj komunizm



Z galerji zasłużonych Polaków. Hugo Kołłątaj.

powszechny, wylęgający się z tamtego jak kurczę z jaja. Pozornie niby tchnienie ewangieliczne, w rzeczywistości zaprzeczenie świadome mu życiu społecznemu. Trybem naturalnym w Polsce, powstającej z namułu niewoli obcej, nie było miejsca na początku dla walk klasowych. Pretensje wzajemne nie miały dostatecznej podstawy moralnej, jakie mieć mogły w Rosji lub w Austrji. Jednakże walka rzekomych klas, zawrzała od pierwszego dnia wolności, ba, nawet była znacznie antidatowana.

Tę walkę zapisać należy całkowicie na konto tej części inteligencji polskiej, która była wnętrznie nihilistyczna. Ta część była częścią ogromną, czy zwała sama siebie socjalistyczną czy burżuazyjną. Nihiliści-cynicy, nihiliści-esteci, nihiliści-pisarze, nihiliści-furjaci z furją społeczną. To był legjon nie nieśmiertelnych, jak roili o sobie ci jaśnie wielmożni przyjaciele ludu ale śmiertelnych, na gnój dla czasu, jak i zaraza ginie od zgnicia. Legjon przedwojenny, wojenny i powojenny.

Wystąpili do dzieła w kostjumach sprowadzonych z Europy, na scenę polityczną jak aktorzy, nie jako ludzie z przedmiotem obeznani i poważnie go traktujący. Lud, który w ogromnej masie nasamprzód dobrze szorować się mydłem nauczyć trzeba, zarazili własną chorobą: partactwem. Nawołując do „czynu", oni nihiliści do szpiku kości, dali przedstawienie takiej parodji czynu, że ów rzekomy „Chrystus narodów" stał się pośmiewiskiem narodów i słusznie, gdyby sądzić z pozorów. Jako wieczni partacze, partacze z zamiłowania i tresury, pocieszne z wzorów literackich Kordjany i Wallenrody, przedmiot szyderstwa Niemców, dostawszy się do władzy motylim kaprysem wypadków, rozpoczęli prześladowanie wszystkiego, co jest rzetelnością. przedmiotowością, majsterstwem, dorobkiem lub zaczynem kultury. Pod dotknięciem ich palców każdy kształt malał nikczemniał, zamieniał się w niższy, awatarą upadku.

Bilans dogorywającego roku 1920, a drugiego wolnej Polski jest bilansem samoniszczenia. Były to lata bez Boga harmonji, słychać było tylko głośne przeżuwanie zwierząt. Jakiż Bóg ma się narodzić? Ileż serc i ileż umysłów gotowe go poznać i przyjąć, bo to najważniejsze... przyjąć go.

Tego zapytania nie dyktuje ani optymizm ani pesymizm, ani kwietyzm ani melancholja. Dyktuje je oburzenie, które to uczucie jedno jedyne z wszystkich bywa święte, jako skala najwyższa człowieczeństwa, bo jeżeli istnienie miłości anielskiej może być podane w wątpliwość, prawda oburzenia — nie! Kiedyż Polska wypędzi swoich nihilistów, którzy przebrali miarę? Czas, bo już w hutach niemieckich kują kajdany.



Walenty Zieliński.

KRYZYS*).

Prasa nasza perjodyczna, a szczególniej ta, która pragnie jeszcze w szacie zewnętrznej swych wydawnictw jakieśkolwiek pozory estetyki zachować a treści nie osnuwa tylko na sensacji lub aktualnościach, przeżywa dziś niebywały kryzys. Książka również postępuje razem z nią cierniowym szlakiem.

Z jednej strony brak odpowiedniego papieru, farb i innych materjałów niezbędnych uniemożliwia pracę, to też drukarnie, patrząc na te wysiłki pracy jedynie z punktu widzenia handlowego interesu, unikają tak kłopotliwych robót, a ideałem dla nich jest dziś druk kwitów kolejowych lub też asygnat państwowych. Wydawnictwo estetyczne to kopciuszek w naszych zakładach drukarskich.

Czy słuszne to czy nie słuszne stanowisko nie będziemy teraz zagłębiać się bliżej. Pozostawiamy to opinji publicznej.

Z drugiej strony wielkie znaczenie ma pokup książki lub pisma. I tu warunki składają się zabójczo. Chcąc kupić książkę lub wydawnictwo w szacie bardziej estetycznej, trzeba mieć pieniądze. Budżet inteligencji na to nie zawsze pozwala, a ci którzy mają dziś pieniądze: paskarz kapitału lub paskarz pracy, nie kwapią się o taki nabytek. Zresztą na co im to? Pierwszy nie odczuje tego co czyta, a drugi nie zrozumie. Pierwszemu nie przysporzy to bogactwa materjalnego, drugiemu nie da wymaganej przez niego do szczęścia ilości zadowolenia, bowiem nie odpowiada to ani jego dążeniom, ani poziomowi, zaś pieniądze zapracowane wydaje na rozrywki niższego gatunku.

Przeciętny czytelnik nieraz nie wyobraża sobie tego co przechodzi dziś wydawca z gatunku nie aferzystów i spekulantów, lecz ten który naprawdę chciałby jakieś ziarnko kultury dawać społeczeństwu na szpaltach swoich wydawnictw.

Publiczności może się wydawać, że to drogo za pismo 1) 20—2) 40 marek, a za książkę 3) 100 — 4) 150 — 5) 200 marek; pozornie tak, drogo, prawda, ale przetransponowawszy to na ceny przedwojenne czyli, jak dziś zastosowując dzielnik 200, bo w tym stosunku powiększyły się ceny druku, papieru i t. d., otrzymamy bajecznie niskie sumy 1) 10 fen., 2) 20 fen., 3) 50 fen., 4) 75 fen. 5) 1 marka i t. d., gdy takież pismo lub takaż książka kosztowała przed wojną 1) 20 kop. (40 fen.), 2) 40 kop. (80 fen.) 3) 1 rb. (2 marki), 4) 1 rb. 50 kp. (3 marki) 5) 2 rb. (4 marki) i t. d. Różnice chyba wymowne i widoczne.

Przyczyną tego niebywałego kryzysu w dziejach książki i wydawnictw jest nie kto inny jak tylko rząd i pośrednio robotnik. To winowajcy którzy całkowicie ponoszą odpowiedzialność za to wszystko co się teraz wogóle u nas dzieje.

Rząd, że zbyt mało ma energji, wyrobienia państwowego i stanowczości, żeby temu przeciwdziałać, że daje swoje placet na to wszystko, mówiąc wciąż z psychopatyczną biernością „dać“, gdy robotnik żąda nieproporcjonalnej podwyżki, lub zgoła nic nie mówiąc, gdy strajkuje albo bierze rekord lenistwa.

Robotnik jest tu stokroć mniej winny. Siła umysłowa nie dosyć jeszcze dokształcona, patrzy blisko przed siebie, to też nikogo więcej jak tylko siebie nie widzi. Posiada wadę ludzi ograniczonych — jest zarozumiały i ludzi ciemnych — wierzy w siłę fizyczną, skąd kult jego dla teroru i innych przejawów wszelkiego gwałtu. Raz, przy okolicznościach sprzyjających, sprobowawszy że można wymusić, probuje wciąż i perjodycznie bierze wynagrodzenie wyższe niż ministrowie, podbijając tym sposobem ceny tego wszystkiego do wytworzenia czego własną pracą się przyczynia. Demoralizacja, wynik wojny, zniweczyła w nim wszelkie zarodki poczucia obowiązku i sumienności, to też wydajność jego pracy spadła do minimum, a i to minimum jest niewiele co warte. Robota jego jest więc droga ze względu na pobieraną płacę, oraz ze względu na jakość i na ilość pracy którą wzamian daje.

Nieszczęsny, stwarza błędne koło w którem sam się kręci. Chwyta wciąż więcej pieniędzy i wciąż więcej ich wydawać musi. A najgorsze to że utrudnia swą lichą pracą sprawne działanie dwóch potężnych naszych maszyn życiodajnych: rolnictwa i przemysłu. Ogładza

*) *Przvp. Red.* Artykuł ten umieszczamy zamiast odezwy od redakcji, bowiem zbyt poważnej i zbyt palącej dziś sprawy nie podobna omówić w kilkunastu wierszach redakcyjnej wzmianki.

kraj i jest katem jego dobrobytu. Brak produktów i towarów, to klęska, która poza przyczynami bezpośrednio przez wojnę spowodowanemi, jak niemożność dostawy surowców i towarów z zagranicy i t. d., na jego sumieniu dziś leży. Pamiętamy zeszłoroczny strajk rolny w okresie kopania ziemniaków (ogładzanie), strajki w kopalniach węgla w zagłębiu (teror względem niezbędnych potrzeb ludności), strajk drukarski (tłumienie kultury i oświaty) i t. d. przykładów wieleby można jeszcze przytoczyć.

Zresztą tłum bez wędzidła musi szaleć, jest to dowodem jego impulsywności i sił żywotnych. Tak. Ale powinno być wędzidło, wygodne, nie ostre i ręka rozumna któraby prowadziła.

A trzeba pamiętać że wędzidło to nie kaganiec, to nawet nie mundsztuk a to bardzo łagodna rzecz do kierowania i powstrzymywania gdzie należy.

Gdyby było wędzidło nie doszlibyśmy do przepaści nad którą stoimy i nie spotkałaby nas katastrofa.

Dziś sami jesteśmy jej sprawcami.

Wolni—jesteśmy niewolnikami, bo żyjemy jak niewolnicy marnym przyziemnym żywotem, bo jesteśmy nędzarzami, którzy nawet nie mogą sobie pozwolić na—książkę.

A nie bierzcie tego za żart, dowcip lub frazes, to sprawa najpoważniejsza.

Książka to konieczność, to nieodłączność, to treść, to kultura, to życie.

Do czegóż my schodzimy? Gdy dla nas staje się ona luksusem?

Widziałam kiedyś w Hamburgu w parku Hagenbecka okazowego Hotentota. Dał mu ktoś książkę do ręki — miała ładną okładkę — myślał że to ciastko, zaczął gryźć.

Czyż i my w końcu, jeżeli tak dalej potrwa, nie dojdziemy do tego że nie będziemy już wiedzieć jakie wogóle książka ma dla nas znaczenie i — jak ten Hotentot — będziemy ją mierzyć tylko wartością ciastka i pojemnością własnego brzucha, miarę tę przystosowując do wszelkich przejawów życia naszego a przedewszystkiem—do kultury i sztuki?

Bo i na cóż to dziś potrzebne? prawda?...

A skąd ratunek? Może zresztą ratunku nie potrzeba i taki stan rzeczy nam wystarcza? Jeżeliby jednak większością jednego głosu w całym narodzie zgodzić sią na ratunek, to przedewszystkiem musielibyśmy mieć sejm i rząd odpowiedni. A wiadomo, każdy naród ma władze rządzące takie, na jakie sam sobie zasłużył. Z własnej woli wybieramy sejm a rząd to dalsza konsekwencja sejmu.

Jeżeli te dwa czynniki w narodzie nie będą inne, nic się u nas na lepsze nie zmieni.

A wyłącznie tylko robotnika winić nie można bo przecież nie przedsiębierze się nic, ani nic nie robi przeciwko brakowi jego uspołecznienia a wszak potrzebuje on ręki mocnej i rozumnej, zaś materjał z niego nie jest jeszcze najgorszy, to też spojrzałby na świat innemi pogodniejszemi oczami a nie tylko przez chmurę dymu fabrycznego, żeby kultura i sztuka, przeciw której dziś, zresztą bezwiednie, walczy miała do niego bliższy i bardziej ułatwiony dostęp.

Wówczas i pismo poświęcone tym zagadnieniom i książka, będą inne miały znaczenie w narodzie i przez nas samych nie będą skazane na banicję, jak to się dziś dzieje, my zaś nie będziemy parjasami w szeregu narodów cywilizowanych, a niestety, musimy sobie powiedzieć, odrzuciwszy wszelką próżność, że dzisiaj tak właśnie jest.

Po ratunek sięgnijmy do własnej duszy, do jej uczciwszego zakątka, ona nam wskaże właściwe drogi a trzeźwy rozum nakaz jej wykona.



E. Kozikowski.

MICKIEWICZ A IDEA LEGJONU.

Ruch narodowy w Polsce, jaki rozwinął się w połowie XIX stulecia, popierany przez Piusa IX, pobudził Mickiewicza do usilnych starań celem pozyskania nowego papieża dla sprawy polskiej. Pomimo dwukrotnej audjencji poeta nie znalazł u Piusa IX poparcia dla swych poczynań nieco może utopijnych, ale przenikniętych podniosłą szlachetnością idei. Sprawa jednak walki o wolność ludów i niezawisłość Polski odbija się szerokiem echem wśród przebywającej w Rzymie na studjach artystycznych młodzieży polskiej, która na wezwanie Mickiewicza utworzyła kadry legjonu, przeznaczonego do walki za wolność narodów. Formacja ta znalazła w krótkim czasie gorące poparcie we Florencji, a zaopatrzona świetnie w pomoc materjalną dzięki staraniom Mickiewicza, urosła do rozmiarów oddziału, który pod wodzą Kamieńskiego wkroczył wkrótce do Tyrolu i rozpoczął walkę z Austrją.

W tym czasie Mickiewicz wyjechał do Paryża, gdzie przy pomocy i bliskim współudziale Ksawerego Branickiego powołał do życia nowy legjon, który wkrótce wyruszył do Włoch.

Objęcie prezydentury rzeczypospolitej francuskiej przez Ludwika Napoleona pobudziło poetę do podjęcia zaniechanych chwilowo planów.

W roku 1849 założył Mickiewicz przy poparciu materjalnem Ksawerego Branickiego dziennik polityczny p. t. „Trybuna ludów", poświęcony wyzwoleniu narodów ujarzmionych. W kilka miesięcy potem pismo to zostało zawieszone—wskutek ogłoszenia stanu oblężenia—wraz z całym szeregiem wydawnictw o zabarwieniu skrajnie radykalnem. Mickiewicz wydrukował w „Trybunie ludów" kilkadziesiąt artykułów, poświęconych całemu kompleksowi zagadnień natury politycznej i społecznej. Pewne skłonności religijno-mistyczne, powstałe pod wpływem nauki Towiańskiego, na pracach tych odcisnęły wybitne piętno, odbierając im jednak powagę i głębsze znaczenie polityczne.

Zamach stanu, zakończony wyniesieniem na władcę FrancjiLudwika Napoleona, Mickiewicz powitał z ogromnym entuzjazmem, pomimo usunięcia go ze stanowiska profesora „Collège de France". Poeta żywił daleko idące nadzieje z powodu nowych zmian, nie przypuszczając ani na chwilę, że dozna tylko zawodów i bolesnych niespodzianek.

Wojna rosyjsko-turecka pobudziła poetę do nowych poczynań. W tym czasie, dzięki staraniom księcia Hieronima Bonapartego, otrzymał Mickiewicz posadę bibljotekarza w archiwum arsenału francuskiego w Paryżu. Ożywiony nowym projektem zorganizowania legjonu polskiego na Wschodzie przeciwko Rosji, dzięki poparciu księcia Czartoryskiego otrzymał Mickiewicz z ministerstwa oświaty misję dokonania badań nad stanem szkół i instytucji kulturalnych w krajach chrześcijańskich, znajdujących się pod zaborem tureckim. We wrześniu 1855 roku przybył Mickiewicz do Konstantynopola w towarzystwie Armanda Levy'ego i Henryka Służalskiego. W kilka dni po przyjeździe zapoznał się tam z Sadykiem Paszą-Czajkowskiem, twórcą kozackich oddziałów, pozostających w służbie tureckiej. Poeta zamierzał zorganizować wspólnie z Czajkowskim samodzielne oddziały polskie, stanowiące oddzielną jednostkę bojową, zwrócone przeciwko Rosji. Zamierzenia jednak poety zwalczane były przez przebywającego w tym czasie w stolicy Turcji, Władysława Zamojskiego, który pragnął pułki polskie połączyć z armją angielską.

Brak wygód i uciążliwe trudy, na jakie był narażony nasz poeta przy usilnych zabiegach, skierowanych ku stworzeniu armji polskiej, doprowadziły do silnego osłabienia wyczerpanego organizmu. Po krótkich cierpieniach zgasł wieszcz w Konstantynopolu 26 listopada 1855 roku.

Idea legjonu polskiego, walczącego przeciwko Rosji o wolność narodu, znalazła w Mickiewiczu gorącego rzecznika i propagatora, który wszystkie swoje stosunki i wpływy w świecie oddał na usługi temu zamierzeniu, ożywiony gorącem pragnieniem dźwignięcia z upadku skołatanej ojczyzny. Że plany te uległy pokrzyżowaniu wskutek zbiegu najróżnorodniejszych przyczyn i okoliczności, nie jest bezwątpienia winą poety, gdyż przyczyna słabego odzewu, jaki wzbudziło wezwanie Mickiewicza, tkwiła raczej w niepopularności idei wolnościowej i demokratycznej i dlatego projekt Mickiewicza poparcia wśród społeczeństwa Europy znaleźć nie mógł. Zasługą niewątpliwą naszego poety jest obudzenie zainteresowania sprawą polską wśród narodów obcych pomimo zdecydowanie wrogiego stanowiska pewnych sfer rządzących.



(Rys. J. Karczewski).

JÓZEF JASIEŃCZYK K.

W jesienny dzień.

Madame toute seule
Straciwszy cel
Miłostek, uciech i zabawy...

Stanęła w dzień
Jesiennych chceń
Z serduszkiem swojem do roz-
prawy.

Rozkoszy nić
Przestała bić
W fontannie parku upojenia,

I liście z drzew
Na zimy zew
Zniknęły, jak mgła urojenia.

— Któż z pustych dni
Wykrzesze mi
Przyszłości urok niezatarty?

— Kto wznieci znów
Czar jasnych snów,
Zapełni złotem życia karty?

Madame toute seule
Chce znaleźć cel,
Lecz próżno szuka męki
końca,—

Nie wskrzesi już
Umarłych róż,
Ni szczęścia zgasłego, ni
słońca...

Gustaw Olechowski.

Moja rozmowa z dziennikarzem holenderskim.

Przyjechał do Warszawy pewien holender. Nie był on ani fabrykantem cakao, ani procurentem sera, ani poławiaczem śledzi, lecz po prostu dziennikarzem. Zjawił się u mnie dla tego, że mu dał adres mój kuzyn jego z którym kiedyś kolegowałem na uniwersytecie.

Byłem z tego bardzo zadowolony, bo pomyślałem sobie: — nareszcie będzie jeden cudzoziemiec gruntownie zaagitowany dla Polski i dobrze poinformowany, należycie „oprowadzony" po Warszawie, jestem bowiem szalenie zarozumiały pod tym względem, że znam Polskę, Warszawę i umiem je z najlepszej strony „zaprodukować".

Byłem pewny w pierwszej chwili, że holender przychodzi do mnie prosto z dworca. Aliści dowiaduję się, że siedzi on tu już od miesiąca, że był już wszędzie, widział wszystko i gotów już do wyjazdu.

— Dlaczegóż Pan nie był łaskaw wcześniej do mnie!

Tak. Może to dziwne. Ale chciałem naprzód sam sobie wyrobić o wszystkiem zdanie, a potem dopiero być agitowanym.

Przepraszam, a skąd Pana przypuszczenie, że ja bym pana „agitował".

— Bo zdaje mi się, że wszyscy Polacy są świetnymi reklamistami swego kraju.

— Ależ, Panie, pan gruntownie błądzi, właśnie to jest bolączka nasza, że nie umiemy prowadzić propagandy, nie umiemy wyzyskiwać naszych atutów.

— Właśnie, nie umiecie propagować tego co jest, a chwalicie to czego niema.

— Naprzykład?

— Mówicie, że niesiecie na Wschód cywilizację Europy.

— A bo tak jest. Cała historja nasza...

— Przepraszam Pana że będę trochę brutalnym, — to są historje, a mnie dziś w hotelu całą noc pluskwy gryzły.

— W którym hotelu pan stoi?

— Już w piątym z rzędu. Ale to nic nie pomaga.

— Ale wracając do historji...

— Po co wracać? Każda historja jest ładna. Ale teraźniejszość.

— Obroniliśmy znów Zachód od najścia barbarzyńców.

— Dziękuję w imieniu Europy, ale dziś w tramwaju wszy mnie oblazły.

— Ach panie, wojna, bieda, przeludnienie miasta...

— A w Wiśle tyle wody...

— Nie chcę bronić niechlujności, ale przecież to są drobiazgi. Myślę że pan taki wybitny publicysta sięgnie głębiej.

— Owszem, byłem i na wsi.

— No i cóż?

— U was w Polsce mieszka kilka narodów zapewne różnych. Pan, naprz., należy — zdaje mi się — (obejrzał się po moim pokoju świeżo po „wielkich porządkach") do narodu tego, który należy do rodziny narodów europejskiej kultury. Ale, naprz., ten jaskiniowiec, zaszyty w skóry, poruszający się wolno, który tylko w nocy jest widoczny...

— O czem pan mówi?

— Stróż.

— Dlaczego tylko w nocy? On w dzień utrzymuje w porządku ulicę i podwórze.

— Przepraszam pana, ale pan używa przesadnych wyrażeń. Ja wiem że pan jest beletrystą, ale w tej chwili mówimy tak sobie, między nami. Utrzymuje w porządku—to przesada. Patrz pan na moje obuwie po dwugodzinnym spacerze. Był pan kiedy w Holandji?

— Byłem, wiem, że u was w rynsztoku można sobie usiąść idąc na bal we fraku, ale to wyjątek.

— Bo uważa pan, my, Holendrzy, mamy przysłowie—jak cię widzą tak cię piszą.

— Nie, pan się myli, to my, Polacy, mamy to przysłowie.

— To niepodobna. Dlaczego się nie stosujecie do tak mądrego przysłowia?

— Warunki trudne. Drożyzna, nawet szczotek brak, mydło drogie. No, ale przejdźmy do bardziej zasadniczych spraw, naprz. — niech mi pan powie, dlaczego zagranica nie śpieszy z kredytem dla Polski.

— Właściwie dla tego.

— Żartuje pan. Kapitalista nie pyta o perły dłużnika, tylko o ewikcję.

— Ewikcji niema. Czy pan zna handel?

— Owszem.

— To pan wie, że kredyt uzyskuje tylko solidność i praca. Lekkomyślność, nieporządek, niechlujstwo, próżniactwo — nawet obciążone miljardami nie dają żadnej ewikcji. Nie dostaniecie nigdzie kredytu, dopóki się nie zmienicie.

— Drzewo, nafta, węgiel, sól — czy to nie ewikcja?

— Owszem ale przy warunku, że kupiony towar będzie w dobrym gatunku, jednolity, ściśle według żądania, na termin dostarczony, w żądanej ilości i t. d. A tego wy nie dajecie.

— Należy spróbować.

— Jużeśmy próbowali, ale daleko wam do Europy.

— Trudne warunki transportu, brak wagonów...

— Które giną w drodze...

— Mógł być wypadek.

— Albo reguła...

— Ależ pan źle trafił widać.

— Różnie, ale przeważnie źle. Przyjedź pan do nas. Zawsze dobrze trafisz.

— Nie mieliście wojny.

— Zobaczymy, jak skorzystacie z pokoju.

Zobaczymy. Niech pan do nas przyjedzie za 5 lat.

— Chciał pan powiedzieć za 50. Niech mój syn przyjedzie. Kto raz u was był, drugi raz nie będzie miał ochoty wracać.

— No, to już nie rozumiem, na jakich pan tu ludzi trafił. Polacy są przecież bardzo gościnni. Proszę, może pan cygarko.

— Dziękuję. Gościnni są, ale, nieuprzejmi.

— Czy i na mnie się pan będzie skarżył?

— Ach, panie, źle mnie pan rozumie. Ale proszę pomyśleć, że przecież cudzoziemiec, jadący do Polski za interesem nie ma do czynienia z tym narodem, do którego pan się zalicza i jeszcze pewno parę tysięcy takich. Cudzoziemiec spotyka się naprzód z celnikiem, potem z konduktorem, dalej z tragarzem, dorożkarzem, portjerem, sklepikarzem posłańcem, służącym, kelnerem, kasjerem kolejowym, praczką, policjantem, urzędnikiem pocztowym, telegraficznym, konduktorem tramwajowym, sprzedawcą gazet a to wszystko, panie drogi, należy do tego narodu zamieszkującego Polskę, który nie tylko nie niesie na wschód kultury Europy, ale który na gwałt wymaga najelementarniejszego wychowania, zasad prymitywnej grzeczności.

— Trudno, panie, każdy naród ma swój proletarjat. A pan przecież wylicza mi zawody proletarjackie.

— Niema, panie, zawodów proletarjackich. Są tylko ludzie — okrzesani lub nieokrzesani, cywilizowani lub dzicy.

— Nie powie mi pan przecież że pan u nas widział ludzi dzikich. Polska cywilizacja stoi wyżej od...

— Zgadzam się z panem. Wy jesteście ludźmi bardzo cywilizowanymi, odznaczacie się wysokiemi wartościami moralnemi, patrjotyzmem, poświęceniem, sumieniem, uczciwością, rycerskością, bezinteresownością, idealizmem, tylko jesteście zupełnie pozbawieni wszelkiej kultury, mieszkacie najgorzej ze wszystkich narodów zachodniej i środkowej Europy, nie macie zupełnie potrzeb, nos ucieracie palcami, w sklepach spożywczych w halach i straganach panuje nieprawdopodobny brud, macie najcharakterystyczniejszą wadę ludzi dzikich—jesteście nie przezorni, nie rządni, jesteście wprost rozrzutni.

— Chcielibyśmy być rozrzutni, ale nie mamy z czego.

— Właśnie dla tego nie macie że jesteście rozrzutni. Wydajecie miljony dziennie na walkę z tyfusem, a nie macie pieniędzy na zamiatanie ulic, polewanie ich i na urządzenia kanalizacyjne w waszych małych miastach. A przecież tyfus z tych braków pochodzi i zabiera ludzi. Każda marka zaoszczędzona na hygienie jest rozrzutnością.

— Brak nam jeszcze wykwalifikowanych ludzi.

— Śmiej się pan z tego. Ludzi macie, tylko nie macie pojęcia o ich użytkowaniu, w wyborze ludzi do pracy decyduje u was partja, protekcja lub sympatja osobista. A to jest śmierć dla organizacji państwowej czy każdej innej społecznej. Dopóki nie nauczycie się sądzić kwalifikacji ludzi waszych z obserwacji ich pracy, ich zdolności, wykształcenia, nie zarzucicie waszych ohydnych protekcji i stosunków, popierania partyjników, dotąd nie ruszycie z miejsca. Zagranica nie da wam kredytu, bo nie wierzy w solidność waszej pracy. Widzi dużo w was dobrych chęci słomianego ognia, pobożnych życzeń, ale nie widzi powagi w waszych poczynaniach. Przekonała się Europa,

że umiecie umierać za ojczyznę, ale nie widzi jeszcze byście umieli dla niej żyć. Musicie ją o tem przekonać.

Zaczynałem się rumienić z irytacji że nie mogę mu zaprzeczyć.

Holender to zauważył i trochę sfolgował w zarzutach.

— To nie znaczy przecież, by położenie wasze było tak złe. Jesteście niecierpliwi, nerwowi, chcielibyście już wszystko mieć, a tu trzeba wszystko od początku zaczynać, ale wolno, stopniowo dojdziecie i wy do...

— Do rozumu, chciał pan powiedzieć.

— Może byłbym się inaczej wyraził.

Gość mój zabierał się do wyjścia.

Chcąc go rewizytować, pytam o adres.

— Hotel Petersburski.

— Petersburski? Nawet nie wiedziałem że jest taki hotel w Warszawie. Pewno jakieś chambres garnies. A przy jakiej ulicy!

— Franciszkańska.

— A któż pana tam umieścił?

— Mój tłumacz i sekretarz.

— Jak nazwisko?

— Zwibelgeruch.

Prosiłem Holendra, by usiadł z powrotem, kazałem podać kawy, cygar i zacząłem z nim rozmowę—od początku.

St. Pieńkowski.

NOWA SZTUKA.

Tytułem nowej, młodej i najmłodszej sztuki lubi się zaszczycać każda niemal nowowstępująca w świat grupa artystów. Ale rzadko która przynosi coś istotnie nowego i wartościowego. Nowe wartości w sztuce tworzą zazwyczaj ludzie samotni, którzy żadnemi „izmami” siebie nie mianują, ani hałasu dokoła siebie nie czynią. Na progu bieżącego stulecia największe w sztuce polskiej dwa zjawiska — Stanisław Wyspiański i Witold Wojtkiewicz przeszli samotni. Natomiast hałaśliwe grupy jednej, drugiej i trzeciej „Młodej Polski” niewiele i nie wysokiej miary wartości po sobie zostawiły.

Nie idzie za tem, abyśmy mieli gromadne ruchy artystyczne lekceważyć. Stanowią one niewątpliwy ferment życia duchowego, a człowiek inteligentny powinien możliwie najlepiej w nich i stale się orjentować. Przy zamknięciu drugiego roku naszego nowego bytu państwowego warto rzucić okiem na całokształt tego dwuletniego życia w zakresie naszej sztuki.

Wielka wojna światowa narzuca się sama przez się, może nieco machanicznie, jako olbrzymia barjera, do której i od której zdarzenia czasu swego rachujemy. Jakkolwiek i przed tą wojną wszystkie znamiona obecnej nowej sztuki już na całym świecie i w Polsce istniały, to jednak dopiero po wojnie, w ostatnich właśnie dwóch latach przybrały one, że tak powiem. charakter nagminny i to sprawiły, że nowa sztuka ręce po berło panowania wyciąga. Jakież są jej dotychchczasowe zdobycze, jaka wytyczna, jaki jej wyraz ogólny?

Najogólniejszym jej wyrazem jest rozpadanie się kształtu, nihilizm ducha, swawola formy, szarzyzna i nieuchwytność ideologji, bezład woli, brak zmysłu budowniczego i tym podobne cechy wyrodniejącego naturalizmu. Naturalizm, jako jedynie określony prąd okresu poprzedniego, jest naturalnym ojcem całego tego chaosu sztuki, jakiego dzisiaj jesteśmy świadkami.

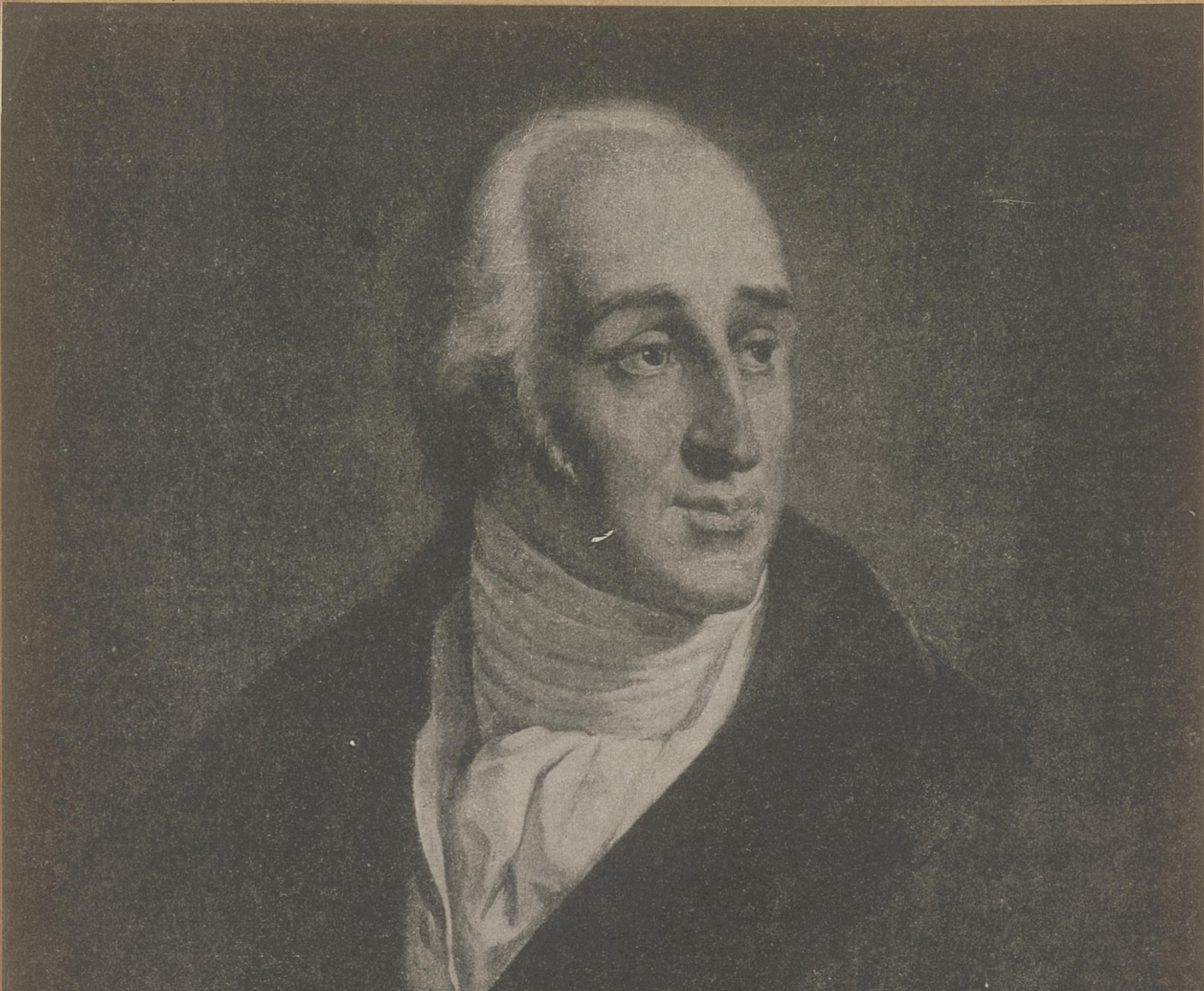
W muzyce, w teatrze, w sztukach plastycznych jak i w poezji rzucającym się w oczy znamieniem nowych twórców jest rozbijanie wszystkich form dotychczasowych na rzecz, jakoby, poszukiwania nowej formy, ale w wynikach, jak dotąd, na rzecz bezforemności. W malarstwie istnieje nawet prąd określony z tą nazwą. deformizm. Tymczasowe bezkrólewie formy staje się tu i owdzie, między innemi w muzyce, zasadą obowiązującą, a w wyniku siłą rozkładową, bowiem bez formy, bez kształtu, bez konstrukcji nic istnieć nie może. Nawet żywioł i nawet w chwili swego wybuchu, jak pożar, powódź, trzęsienie ziemi — posiadają formę swą i prawa przebiegu.

Poszukiwanie nowej formy, jakkolwiek zda się być rzeczą chwalebną i chaosowi przeciwną, również ze swojej strony chaos nowej sztuki powiększa. Poszukiwanie to odbywa się naoślep i drogą bezpośrednich prób formalnych z pominięciem jedynego czynnika z którego forma sama przez się wyrasta, t. j. z pominięciem treści. Artyści nowych czasów zapominają o tem, że trzeba naprzód ducha swego w milczeniu i od podstaw obudzić, zbudować i ukształtować i że dopiero tego ducha zbudowanego można do poszukiwania swego objawu, czyli swojej formy powołać.

W przciwnym razie wszelkie poszukiwanie (bez tego, kto poszukuje) staje się przypadkowem zbieraniem drobiazgów, ślepem zgarnianiem wszystkiego, co wpadnie pod rękę. Taki też, ściśle taki jest obraz najnowszych zdobyczy sztuki, która się nową sztuką nazywa, Rozłazi się ona i rozbiega się wszędzie w sposób niesforny, często naiwny i szuka po kątach, po miastach, po ulicach, fabrykach tego, co tylko w sobie samym człowiek znaleźć może.

A że te poszukiwania prowadzi się gorączkowo-pospiesznie i bez celu, więc coraz to nowe odkrycia światu się ogłasza, które natychmiast chrzci się nowym „izmem“. Formizm, deformizm, futuryzm, ekspresjonizm, orfeizm, dadaizm, urbanizm, supremizm, synehronizm, prezensizm, syntetyzm — oto mała cząstka „izmów” fruwających w powietrzu. Ale treści w nich wciąż niema i niema.

Powiększa chaos sztuki i to jeszcze, że artyści zaniedbali zupełnie filozofję. Jedyny zakres Ich teorety-



Z galerji zasłużonych Polaków. Tadeusz Czacki.

zowania — to estetyka. Ale tu właśnie artysta najmniej znaleźć może, a najłatwiej samego siebie w doktrynę opętać i zgubić. Nie w estetycznem, ale w filozoficznem ujęciu świata tkwi możność zbudowania samego siebie, swojej właśnie, treści, która dopiero objawi się w sztuce pod widomym znakiem formy. A już rzeczą późniejszych teoretyków będzie estetyczne określenie, nazwanie i zdoktrynizowanie tej formy.

W tem zlekceważeniu filozofji tkwi najistotniejsze źródło szarzyzny i nieuchwytności ideologji nowej sztuki. Przyczyną zaś tego zlekceważenia założeń filozoficznych jest wszędzie dostrzec się dający dzisiaj bezwład woli, zwłaszcza woli zbiorowej I człowiek społeczny i człowiek towarzyski doby obecnej — jest słaby i bezwolny, znużony i przypadkowi poddany. Ztąd też bezpośrednio wynika niemożność podjęcia wysiłków architektonicznych, konstrukcyjnych — zarówno nazewnątrz, jak i w sobie samym. Ztąd zaś — ogólne na wszystkich tworach nowej sztuki piętno naturalizmu, choć czasem ukrywa się on w sposób pomysłowy nawet w masce swego zaprzeczenia. Wszystko to razem jest chaosem i nihilizmem ducha.

Obraz ten, bardzo szkicowy, był-by niepełny, gdybym milczeniem pominął wyjątkowe, tu i owdzie podejmowane wysiłki nie-chaotyczne, nie-niszczycielskie i nie-rozpaczliwe ze strony jednostek rozumiejących stan rzeczy i dźwigających się się ku swoim wyżynom w spokojnej, czasem w spokoju swym tragicznej walce z szalejącym dokoła żywiołem. Oni może są istotnymi twórcami nowej sztuki, sztuki przyszłości. Zanim jednak zwyciężą, a walczą już dawno, na pustym tronie sztuki zasiądzie zapewne chwilowy jej zdobywca, ów różnoraki „izm" hałaśliwy, który w gruncie rzeczy jest maskaradą i kameleonem starego wyga — naturalizmu.

POEZJE.

Jesienna róża.

Jesienna róża kwitnie blada,
gdy ziemia liśćmi drzew zasłana,
gdy z niebios pereł łza opada —
jesienna róża herbaciana!

Pośród jesiennych złotych liści
pobladłe z szronem płatki kładzie...
na półuśpionej wątłej kiści,
samotna kwitnie w pustym sadzie! —

Ostatnia zwiędła róża blada,
gdy ziemia liściem drzew zasłana,
gdy z niebios pereł łza opada —
jesienna róża herbaciana!

KAZIMIERZ (MIRKO)—KOSIŃSKI.

Na porfirowych schodach.

Na porfirowych schodach mej świątyni
siadłem znużony i w słońca paterę
utkwiłem oczy, a z szelestem pinji
powędrowałem hen, na pola szczere...

Wybudowałem w trudzie gmach bezcenny,
upojną ambrą napełniłem wnętrze —
ołtarz ująłem w żółty marmur z Sienny,
rozsiałem kwiaty, w barwy — najgorętsze.

Trzy dni leżałem, jak pokutnik krzyżem,
snując różaniec głębokiej zadumy, —
dzwony mi grały, jak rycerze spiżem,
trzy razy w mrok się spowijały tumy.

Potem rozwarłem na oścież podwoje,—
słońce zabłysło w zielonych witrażach,—
zrzuciłem szyszak, zdjąłem z siebie zbroję,—
kwiaty ożyły o anielskich twarzach...

Strudzony pracą usiadłem na progu,—
wietrzyk mnie muska, jak można najsłodziej,
a wokół ptaszki zawodzą o Bogu,
co się w stajence raz do roku rodzi...

EDWARD KOZIKOWSKI.

Z cyklu sonetów: „Do słońca!"

Słońce ty moje! — Spragnionemi oczy
witam cię co dnia — od wczesnego rana,
gdy twoja tarcza — przeczysta — świetlana,
po niebnym szlaku wspaniała się toczy...

Na twe promienie — jakby krwawa rana,
kładzie się w pościel złocistych przezroczy
ma tęskna dusza — i w zaświat uroczy
promienna płynie — z twym blaskiem zbratana,

i dla mych skrzydeł — granic wtedy niema,
nic mnie w mym locie słonecznym nie wstrzyma,
nic — chyba rozkosz duchowej pieszczoty,

jeśli — do innej — a blizkiej mi duszy,
hen — gdzieś za morzem—lub w dalekiej gluszy,
Psyche ma zstąpi — jako promień złoty...

TERESA ŁUBIEŃSKA.

Pod lazurową strzechą.

Boże, nie bluźnię,
aleś we mie grzech
stworzył — jak kuźnię
pod gnuśnością strzech.

Od skier — nad ciałem
spłonął złudzeń dach...
Błękit ujrzałem
i zdjął mię Twój strach.

Gdy świat omamień
padł w zgliszcze i pył—
węgielny kamień
Twój został, bo był.

I oto Słowo
spożywam, jak chleb,
pod strzechą nową:
lazurem Twych nieb.

EUGENIUSZ KORWIN-MAŁACZEWSKI.

I chlebne kłosy wyrosną.

Dokoła zakwitły sady,
zakwitły pachnące bzy;
gdzieś żołnierz umiera blady
we własnej i cudzej krwi.

Spalone strzechy słomiane,
zniszczony wiśniowy sad,
trupami pole zasłane,
pociski zorały świat.

Na glebę żyzną i czarną
śmierć tylko rzuca swój siew;
mękę tysięcy ofiarną
i młode życia i krew.

A wiosna idzie po świecie,
w oczach obłędu ma lęk:
zdeptane, skrwawione kwiecie,
płacz tylko słychać i jęk.

I rzuca na ziemi rany
traw garście, kwiatów i ziół,
kwitnące skryją kasztany
szkielety spalonych siół.

Wonnem się kwieciem okryje
jabłoni sękaty pień,
słowik znów gniazdo uwije
w noc pełną szeptów i drżeń...

Zaszumią pszeniczne łany,
bitewny zakryją szlak;
żołnierskie ciche kurhany
otuli powój i mak.

A ziarno, zasiane wiosną,
stokrotny przyniesie plon,
i chlebne kłosy wyrosną
ze śpiących pod ziemią łon.

A ludzie kiedyś ten nowy
chleb łamać będą i jeść,
i z szeptem pochylą głowy:
ZA WOLNOŚĆ POLEGŁYM CZEŚĆ...

JAN SOKOLICZ WROCZYŃSKI.

Ręce.

Ręce białe, ręce miękkie, ręce aksamitne,
Ręce — marmur Karraryjski w żyłeczki błękitne,
Ręce kwiaty śnieżno-białe, ręce — ptaki lotne,
Ręce rozkosz i pieszczota, ręce nierobotne!

Ręce twarde, ręce szorstkie, ciemne, jak razowiec
Ręce w kurzu (gdzieś zdaleka, w znoju szedł wędrowiec!)
Ręce pracy zarobkowej, do młota, do pługa,
Ręce, które do krwi jasnej przeżarła zasługa!—

HENRYK ZOBÓR.

U brzegów Lety.

Nektar boski zaczerpnę w krysztale,
Cud zapomnień z tajemnicy biegu,
Kędy huczą ciemnej Lety fale —
A łódź płynie od brzegu — do brzegu...

Tam — po dole — rwąca szumi fala — —
Nad mą strzechą ciągnie chmura bytu...
Śpiew nieznany dolatuje zdala —
Z niedościgłej krainy błękitu...

I przedziwne w mej zagrodzie czary
Cudem płoną w pragnień mych godzinę...
Złotem gwiaździc rozgorzały jary —
Miesiąc srebrzy u brzegu olszynę.

Nad przepaścią stoi zrąb mej chaty,
Orle gniazdo zawieszone w górze...
Łuk tęczowy pozapalał kwiaty —
Krwawą łuną zajaśniały róże.

Śpiew cudowny perły nut z przestworzy
Srebrnym deszczem rozrzucił u proga,
Snując przędzę Tajemnicy bożej
Z życiodajnych piersi Słońca-Boga.

Niebo przepych boskich darów dzieli —
Słońce sypie snop złotych promieni!
W kielich serca lecą perły treli,
Postrącane z obłoków w przestrzeni...

Cud świetlany leje boską ciszę —
Zapomnienia ukojem się pali...
Rwącej rzeki poszumu nie słyszę...
A dzwon bije, dzwon srebrny w oddali!

WALENTY ZIELIŃSKI.

Radosław Krajewski.

ANTROPOCENTRYZM.

(Przełom w poezjі i sztuce).

Jeśli z wyżyny słońca spojrzeć na dzieje poezji, dostrzec nie trudno dwa bardziej wydatne, przejawiające się w nich sporadycznie momenty:

1) moment, kiedy w poezji, a stąd w sztuce i nauce panuje wszechwładztwo twórczości, człowiekowładztwo, wiara w nieśmiertelność dusz i świata, w boga — współtwórcę rzeczy, kiedy siłą nazywamy tylko to, co idzie przez nas lub z nami, moc łamiącą nas nazywamy gwałtem.

2) i moment wtóry, będący odwrotnością pierwszego, kiedy w poezji carzy wiara w Fatum, w konieczność, w światopogląd materjalny, a twórczość nie posiada siły i rozmachu, kryjącego się we wierze w jej wszechmoc.

Dzieje ludzkości, przeobrażające się pod znakiem pierwszego są budujące, zdobywcze, tchną tańcem szczęśliwości, promienności i pozostawiają największe pomniki dzieł sztuki.

Dzieje natomiast ludzkości, przeobrażające się pod znakiem fatalizmu, dążenia do Nirwany, bogate są w przejawy mizantropji, pesymizmu, w samobójstwa jednostek i społeczeństw, w neurastenję twórczą, w rozkład, lub w skostnienie dusz i ciał w jakichści zaziemskich mistycyzmach.

Poezja i sztuka spółczesna jest na przełomie tych dwóch momentów: z jednej strony widzimy o zdecydowanych linjach okres marazmu sofistycyzmu, szarłatanerji w sztuce, bezdogmatowości, materjalizmu; z drugiej—o niezdecydowanych jeszcze linjach nadchodzący okres wielkiej wiary we wszechmoc, w boskość twórczego człowieczeństwa.

I) Poezja i sztuka schyłkowości.

Poezja i sztuka ostatnich dziesiątków lat stoi pod znakiem fatalizmu, pozytywizmu, kantowskiej „konieczności" i bezwzględnego posłuszeństwa w stosunku do tej „konieczności". Panujące w niej prądy dadzą się ująć w następujący schemat:

1) futuryzm;

2) formizm:

a) primitywizm (dadaizm, kubizm, suprematyzm)

b) strona techniczna (pomtylizm, ekspresjonizm)

3) unaanimizm i urbanizm (jasnogrodzkość).

1. Futuryzm, choć nazwy swej zapożyczył od słowa „futuritas" (przyszłość), choć wszystko, co było dotąd nazwał passeizmem i choć dążył w imię umiłowania przyszłości do zniszczenia muzeów, panteonów, wszystkich pomników sztuki dotychczasowej,—już nic wspólnego niema z przyszłością.

Jego pionierzy rosyjscy (Włodzimierz Majakowskij, Kamińskij, Błok, Balmont), francuscy—paroksiści, włoscy (Marinetti, Bucci, Veroni, Soffici) stwierdzili tem, co stworzyli, że nic trwałego w płaszczyźnie futurystycznego światopoglądu nie stworzą.

Brak syntezy poetyckiej, którаby wypełniła najgłębsze warstwy duchowości w człowieku, uczynił futuryzm prologiem rozwierzganego nihilizmu w sztuce, prologiem eksperymentowania dla eksperymentowania, prologiem kultu nie form a rzeczy.

Znamiennym przykładem futurysty jest np. Ardengo Soffici w utworze swym „Ironja i życie". Ten poeta futurystyczny z orszaku Marinetti'ego, niezręcznie naśladuje Wilde'a, nie umie postawić żadnej tezy w swych pracach, neurastenja schyłkowca, sofisty, tworząca w nim ironję destrukcji tej tezy, nie pozwala mu na to.

2. Formizmem najogólniej we wszystkich gałęziach sztuki nazwano dążenie do nowych jej form i przejawy tego dążenia. Literaci formiści naprzykład (Tytus Czyżewski, Kozikowski) twierdzą, że „forma musi się opierać na bezwzględnie koniecznych zestawieniach wyrazów podczas, gdy treść powinna być najbardziej płynna".

To szukanie formy poszło w dwóch kierunkach:

a) w kierunku budowy nowej formy z form najmniej złożonych, najprostszych, czyli w kierunku primitywizmu,

b) i w kierunku pewnych manier lub wirtuozowstwa technicznego.

a. Dadaizm (nazwa pochodzi od literackiego czasopisma, wychodzącego w Szwajcarji „Dada") jest primitywizmem patrzenia nazewnątrz, z siebie, primitywizmem dziecka. W ten sposób będzie pojmować, rysować opowiadać dziecko, patrzące na świat dookolny tak bardzo zewnętrznie, tak inaczej, tak irracjonalnie, w ten sposób będzie patrzeć poeta, który się wydzieli ze wszystkiego i spojrzy na wszystko prosto, zewnętrznie z jakiegoś innego punktu.

Kubizm jest primitywizmem konstrukcji wewnętrznej dzieł sztuki, gdy dadaizm jest primitywizmem budowy bardziej zewnętrznej; przejawił się najwydatniej w sztuce plastycznej, która w przeciwstawieniu do okresu, naprz., romantyzmu, wogóle dzierży primat w eksperymentowaniu między innemi gałęziami sztuki, i w niektórych sketch'ach literackich.

Suprematyzm jest primitywizmem efektu, najbardziej skondensowanych, „czystych form". W malarstwie naprzykład dekoracji teatralnych ekspresjonizm drogą plam, składających się z czystych trzech podstawowych barw: żółtej, niebieskiej i czerwonej oraz czarnej i białej, i drogą oświetlania sceny również przez zasadnicze owe barwy stworzył niejako akcję barw, a dzięki stale rzekomemu trzeciemu planowi dekoracji teatralnej, koordynującemu barwami i linjami z pierwszym i drugim planem dekoracji, akcję linji w teatrze (eksperymenty Juljusza Osterwy). Akcja linji i barw wiąże się z akcją dramatu, poszczególne „uczucia barwne" występują na scenie w ten sposób, że uczucia, przejawiające się na scenie, są potęgowane przez odnośne barwne oświetlenie.

b. Eksperymentowanie w sferze ujmowania tematu i jego wypowiadania poszło po linji pointylizmu i ekspresjonizmu.

Ekspresjonizm (wyrażenie) jest odwrotnością impresjonizmu (wrażenie). O ile impresjonista-literat dążył do otrzymania z zewnątrz maximum „wrażenia", by to „wrażenie" potem jak najbardziej „bezpośrednio" oddać widzowi czytelnikowi, o tyle ekspresjonista-literat wysiłek skierowywuje nie ku otrzymaniu wzruszenia, ku spotęgowaniu go w sobie, lecz ku silnemu rzuceniu wzruszenia przezeń posiadanego na czytelnika. Tego „silnego rzucenia" stara się dokonać w ten sposób, że dla wzruszenia-uczucia szuka takiej „koncepcji", która je najmocniej uchwyci, i takiej „kompozycji-rozbudowy" owego pomysłu, który je najplastyczniej „wyrazi".

Ekspresjonizm jest nawrotem do rozmachu, patosu i jakkolwiek dotąd daremnem, ale jest szukaniem „stylu". W malarstwie ekspresjonizm oparł się nie na barwie, lecz na konturze: światłocieniu.

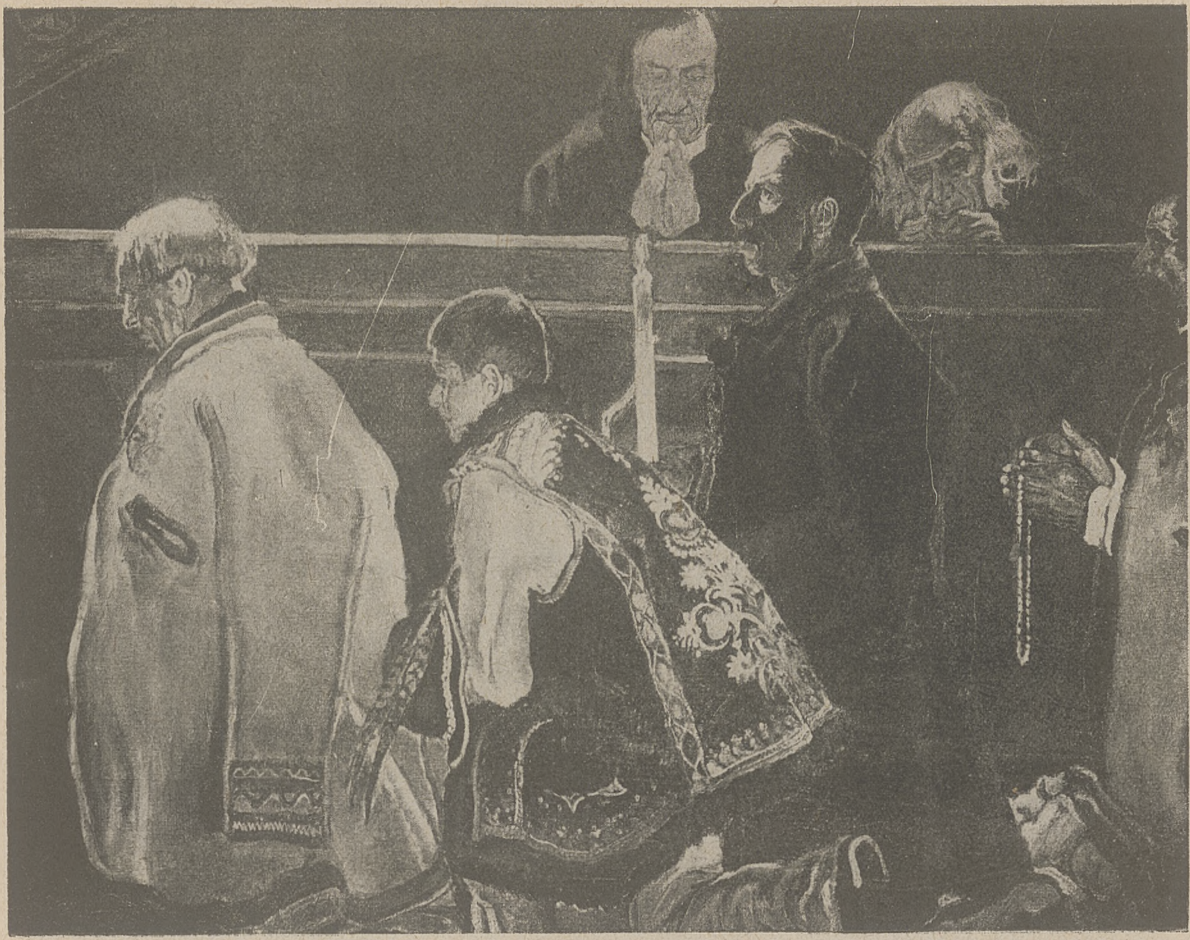
Pointylizm literacki podobnie, jak taśma kinematograficzna, jest wyrazem spółczesnego życia, rozmiłowanego w ruchu, we wrażeniach, otrzymywanych z całych szeregów odrębnych, szybko po sobie przemijających obrazów. W utworach pointylistycznych spotykamy celowo opuszczane spójniki (i, a, jeśli, jak, kiedy, to i t. p.), szeregi zdań, złożonych tylko z rzeczowników i przymiotników, a pozbawionych, naprz., czasowników, lub odwrotnie, rzucanych na ekran naszej wrażliwości z kinematograficzną szybkością. Pierwsze utwory poetyckie, pisane w tej formie (Czyżewski, Kozikowski, Iwaszkiewicz), posiadają te same wady, jakie posiadały pierwsze taśmy kina— brak nieprzerwalnej szybkiej, wrażeniowej ciągłości.

Jeszcze bardziej wydatnym nawrotem ku szukaniu stylu jest unaanimizm.

3. Unaanimizm (una anima) jest ideją zespołowej pracy w sztuce i poezji. Tu twórca świadomie zrywa z krańcowo „irracjonalnemi" cechami swej indywidualności na korzyść cech indywidualnych zespołu, środowiska, w jakiem się znajduje (zespoły teatralne, naród, rasa i t. p.). Tą drogą unaanimista-literat dąży do oparcia się o jak najszersze warstwy dusz i tem samem głód sztuki i poezji w tych duszach najowocniej stwarza i zaspakaja. Unaanimizm sam przez się nie narzuca żadnej z form i żadnej nie ruguje, jest jedną z właściwych dróg dążących do potężnego wypowiedzenia w nowym stylu duszy rzeszy.

Urbanizm i jasnogrodzkość są to dwa pokrewne kierunki, które dotąd wydatniej przejawiły się w sztukach plastycznych i literaturze. Urbanizm, bardziej pokrewny futuryzmowi, narzuca artystom, jako temat lub jako środek dla wypowiedzenia pewnej treści wzruszeniowej, — zewnętrzne formy miasta (urbis) (domy, kominy, rynny, latarnie, dźwigi) i ostatnie zdobycze cywilizacji (radja, samoloty, samochody, telefony i t. p).

Jasnogrodzkość, znana w najmłodszej



Pasterka na Podhalu.







Władysław Jarocki. Górale



Palma Vecchio. Narodziny Pańskie. Trzej królowie przybywają z pokłonem.

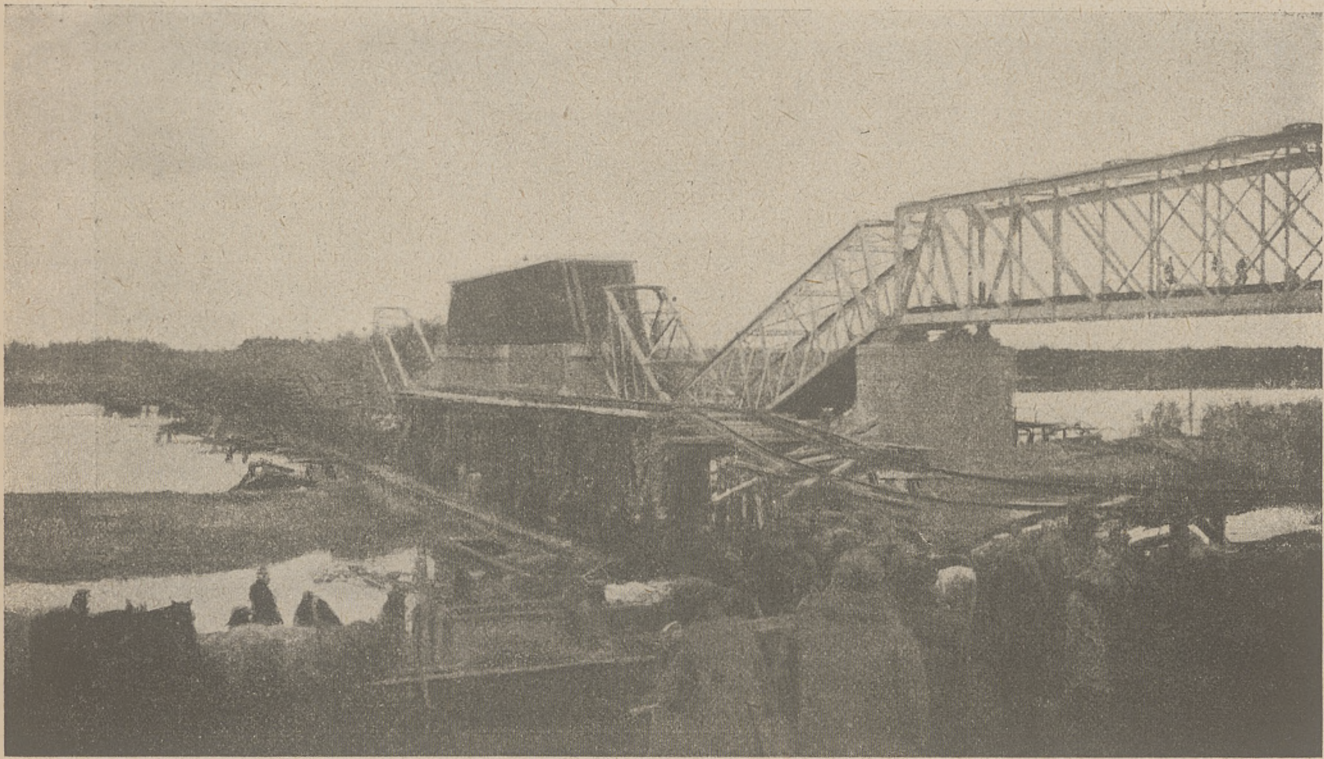


Z arcydzieł malarstwa polskiego.

Jan Matejko. Założenie Szkoły Głównej przeniesieniem do Krakowa ugruntowanem.



3 p. p. Leg. przeprawia się przez Niemen pod Zboiskami, ścigając uciekającego nieprzyjaciela.



3 p. p. Leg. przeprawia się przez prowizorycznie rzucony most przez Niemen pod Sielcem, ścigając uciekającego nieprzyjaciela.

(Fot. Ordża).

iteraturze z wieczorów literackich „Światowita", niesie kult dla ludzkiego genjuszu twórczego, opanowywującego „przyrodę" dla piękna i potęgi ludzkiej, a stąd i kult zdobyczy cywilizacji, jako zdobyczy ludzkich na „przyrodzie" i kult wielkich zbiorowisk ludzkich w imię tej zasady, że genjusz, myśl twórcza postępuje naprzód w zbiorowiskach ludzkich tem szybciej, im większe są te zbiorowiska, i że szybkość ta wzrasta w stosunku geometrycznym do wielkości tych zbiorowisk.

II. Poezja nowej ery.

Owe liczne nazwy kierunków, szyldziki, etykietki jałowością swej wytwórczości artystycznej, stwierdzają, że obecnie w ludzkości panuje moment światopoglądu fatalistyczno-materjalistycznego i że stoimy w przededniu cenniejszej nowej ery człowiekowładztwa.

Poezja i sztuka nasza po romantyzmie, daremnie domagającym się w improwizacji Mickiewicza sprawiedliwości od Boga „materjalistycznego", poczyna dostosowywać się do materjalistycznego światopoglądu (pozytywizm) lub uciekać od życia („Chimera"), bo życie jest straszne, potworne, to życie, które bezkarnie dokonało mordu na Polsce, to życie, gdzie w stosunkach międzynarodowych panuje zasada przemocy, nie etyki, to życie, które odbiera wiarę we wszechmoc twórczą myśli ludzkiej, wtrąca ją w niewolę chochołów.

Dziś, gdy w ludzkości poczyna zwyciężać zasada prawa, gdy uzyskaliśmy wolną, bytu formę — państwo, poczynamy coraz dufniej dążyć do wolności własnej myśli twórczej, własnej jaśniowej-narodowej, to dążenie przejawia się coraz silniej w całej dotąd biernej, drzemiącej, bezkrytycznej i wyzyskiwanej przez obcych geszeftmacherów Słowiańszczyźnie (Jugosławia, Czechy).

Porozumienie na płaszczyźnie apolitycznej Między młodszą generacją poetów słowiańskich (Jugosławia, Bulgarzy, Czesi, emigranci rosyjscy) już częściowo nastąpiło. Na początek wiosny jest przygotowywany za inicjatywą T-wa miłośników Literatury zjazd poetów słowiańskich w celu wzajemnego poznania, nawiązania bardziej ścisłych stosunków, uzewnętrznienia najogólniejszych ideałów budzącej się do życia rasy i w celu zawiązania odnośnych organizacyj.

Dla zachodniej Europy, przeżartej determinizmem, zgnilizną rozkładających się starych kultur, samolubstwem i ślepotą mózgu, ideologja, przepojona wiarą w życiotwórcze siły człówieczeństwa, umiłowaniem, radością czynu i ową nieustannie wstającą z wielkich wysiłków, trudów — słonecznością, będzie podwaliną pod nowe życie, nowy styl, pod antropocentryzm.

III. Antropocentryzm.

Z odkryciami Kopernika, skrzydlatego sarmaty zachodnich naszych rubieży, upadło pojęcie geocentryzmu, określającego ziemię— jako środek kosmosu, i jeszcze pierw upadło, powstałe w fatalistycznej Grecji, pojęcie antropocentryzmu to pojęcie, nie posiadające nigdy w dziejach ludzkości szerszych kół wyznawców.

Antropocentryzm streszcza się w tej wierze, że człowiek jest najcenniejszym tworem Boga, że przez człowieka Bóg wypowiada swoją najistotniejszą treść, że stąd człowieczeństwo stanowi wszechświata kręgosłup i centrum.

Dążenie wraz z tęsknotą Boga do stale wcielanego, ale nigdy nie wcielonego ideału człowieka, ogarniającego najszersze pojęciowe horyzonty, czyniącego najśmielsze przekroje wszystkiego, do człowieka przebudowywującego na wzór swój kosmos, coraz bezwzględniej opanowywującego drogą odkryć i organizacyj tego kosmosu ślepe, rozhukane żywioły, — to wytyczne lacko-słowiańskiego antropocentryzmu.

Nawiązany stosunek tej wielkiej nowej treści do wszystkich zjawisk naszego życia—to nowy systemat socjalny, filozoficzny, poetycki, estetyczny, to podwalina pod nową sztukę, która dopiero wszystkie rzeczone aksperymentowania mózgowe, wszystkie, wszystkie bezważkie formizmy, rozmiatane po globie, wiatrem, jak śmieci, będzie zdolna zużyć dla budowania swego nowego, zakrojonego na tysiąclecia, przebogatego i sharmonizowanego stylu.

Jerzy Gąssowski.

LISTY Z FRONTU.

Z walk 17 pułku ułanów, 3 pułku ułanów Wielkopolskich. *Pani Stefie L.*

27 sierpień.

Wczoraj o zmierzchu począł dąć od wschodu mocny wiatr-bolszewik, taki zimny że dygotaliśmy wszyscy mimo ciepłych płaszczy. Pierwsze to dnie jesieni, pierwsze chłody. Pierwsze patrole jesieni, która szykuje wielką ofensywę chmur, dżdżu i wiatrów. A także i ten wczorajszy przygotowała i noc na pozycji.

Obchodziłem posterunki, pod wieczór zupełnie martwe, przyczajone w małych kotlinkach, skulone. Zebrani razem, jak kuropatwy, rozgrzewając się pogawędką, bo kuchnie nie nadeszły, leżeli na trawie ułani. Cały północno-wschodni stok góry, zwrócony ku Bóbrce usiany był rowami strzeleckiemi jeszcze z 14-go roku, dziś już równomiernie zarosłemi trawą. Biegła w dół nieregularna kapryśna, a jednak mająca *wtedy* swój wielki sens linja dołów. A zaraz za nią rozrzucone mogiły i krzyże, niby ślady jakichś wielkich stóp. Zerwali się wtedy pod ogniem i biegli dalej, krzycząc. I zaraz kilku padło. Tak było napewno. To wszystko tu jest zapisane.

To samo, po sześciu z górą latach my tu przyszliśmy robić. Inny rok, inne wojska, inni ludzie. Ale pozycja jest ta sama...

Na niebie, dziwacznie przybranem obłokami, działy się rzeczy ciekawe. Rumieniło się miedzianemi i złotemi łunami, gorzało wiecznym pożarem skonu. Niby kra zgęstniała i pogruchota w złomy płynęły zwolna po niem straszne w kolorycie, zimne, granatowe chmury, zapychające sobą niebo. W dali bił w obłoki karmin pożarów.

Groza stała na górze płynąca z nieba i z ziemi. W okolicznych lasach stali utajeni bolszewicy i niewiadomo było, czy gotują się do nocnego ataku, czy też układają się w ciemnościach do snu. Nasza pozycja wbijała się klinem między ich stanowiska. Mimo absolutnej ciszy na linji czułem ogromną niewypowiedzianą żadnem słowem radość na myśl, że odejdziemy stąd za pół godziny i dostaniemy gorącej kawy i ciepłą izbę w jednej z wiosek rozrzuconych w dolinie. Ciągle myślałem, jaka to będzie rozkosz niesłychana. Ciepły kąt i kawa. I zmrużenie oczu.

Przygotowując się do przyjęcia tej, wprost bezbożnie wielkiej dozy szczęścia, łatwiej znosiłem wiatr lodowaty. Jeszcze pięć minut: jeszcze trzy...

Dudniąc kopytami w ciemności podjechał wreszcie ordynans z rozkazem. Ostrożności, nie cenie ognia zgrabiałemi rękami, czytanie wiotkiej, pomiętej karteczki.

...„Drugi (t. j. mój) szwadron pozostanie na wzgórzu 386 przez noc. Rano będzie zamieniony przez kompanję piechoty. W razie niemożności utrzymania pozycji odstępować na Bóbrkę i szosę lwowską...

„Pozostanie więc Pan tu ze szwadronem i z maszynkami“ — rzekł rotmistrz Podhorski, zastępca dowódcy pułku.

„Rozkaz”—wyrzekłem.

Wielkie to słowo. Największe. Najtwardsze.

Nie było przyjemnie, o nie było przyjemnie. Trzeba było mieć mocną wolę i żołnierską rezygnację, aby nic więcej nie powiedzieć, tylko ten wyraz ślepy. Trzeba już było mieć długie lata tresury aby, co więcej, natychmiast *poczuć* się w tem nowem położeniu, ułożyć z wewnętrznym zapałem, szczerym, choć wywołanym sztucznie plan rozstawienia nocnych posterunków i karabinów maszynowych. Tę możliwość natychmiastowych przeobrażeń, nowych spodziewań i pragnień, tę gibkość woli i możność kierowania energją, niby lufą karabinu daje tylko bezwzględny i ślepy mus wojny, nieodwołalność rozkazu. Jest on, proszę Pani, doprawdy ponad wszystko. Ponad rangę, nazwisko, ponad człowieka. Przekreśla wszystko — wskazuje tylko kierunek. Nie widzi osoby, szczegółów, powikłań dyktuje tylko najdoskonalszą, niemal matematyczną formę wykonania. Jest ideałem czynu, który każdy żołnierz lepiej lub gorzej spełnia i do którego, jak do słońca, idzie.

Mnie wogóle na wojnie niema. Jest tylko oficer, porucznik, jakiś dowódca. Mam swoje drobne obowiązki. Tylko najdoskonalszego spełnienia ich ona ode mnie wymaga. Suma ich

daje zwycięstwo. Wojna nie wymaga śmierci, ale życie bez zastrzeżeń stawia na kartę, o ile chodzi o dokładność wykonania jakiejś cząstki ogólnego czynu. Ta sumienność i poczucie odpowiedzialności znacznie silniejszemi są od pragnienia życia.

Ja, ja, proszę Pani, odnajduję się tylko i to z trudem w tych listach do Pani, w marzeniach, snutych podczas długich, całodziennych marszów ciągle stępem, w deszcz i pogodę, w dzień i w noc. Wszystkiego tego czem jestem, poza oficerem, wojna nie potrzebuje. Wszystko to dla niej jest zbędne i błahe. Ona nie wymaga wcale mnie całego i ciągle. Tylko zażywa mnie od czasu do czasu.

A jednak zabiera mnie zupełnie, całkowicie wyjątkowo, wbrew całej mojej woli, jak nic innego w mem życiu nigdy mię nie zabierało. Za wyjątkiem Pani!

Więc może Pani nie być o nią zazdrosną. Wczoraj więc skazała mnie na tę noc wśród mogiłek.

Mżył deszczyk, znudzony sam sobą. Ach, jakże było zimno, i wietrzno. Jak tu spać? I gdzie?

Wojna zdrzemnęła się na godzinę, może na całą noc, nakryła się kocami chmur. Zostałem na wzgórzu. Przytulony do wilgotnej ziemi w przemokłym płaszczu. Niosłem dalej tę ciężką ofiarę zimna, głodu, gorączkowego drzemania.

Dopiero dziś otrzymałem nagrodę królewską. Prawie cały dzień postoju i noc, którą mogę spędzić w chacie. W łóżku, rozebrany. Mogę się umyć, chodzić w bieliznie i pantoflach choćby ze trzy godziny, jak jaki hrabia, układać nieliczne moje rzeczy, ocalone z pogromu pod Baraniami, oglądać ubranie. Cóż to za rozkosz! W krótkiej chwili wżyłem się w nastrój domowy panujący w tej chacie, względnie czystej i obszernej, wniknąłem w nią, jak woda w gąbkę. Zapomniałem odrazu o długich tygodniach męki, trudu, wyczerpania.

Usypiając myślałem o Pani, słodziutko.

Stanisław Wotowski.

Jak się Polska przedstawiła oficerowi francuskiemu w początkach ubiegłego stulecia.

Ze wspomnień z epoki napoleońskiej kapitana E. Blaze przytaczamy ustępy odnoszące się do Polski i malujące jej ówczesny stan. Opisy jednak kapitana Blaze nie są dostatecznie wyczerpujące, pogłębione, żeby mogły tworzyć jakąś krytyczną całość. Są to raczej rzuty, wrażenia niemniej ciekawe i mogą nam uzmysłowić zmiany obyczajów, stosunków zaszłych od tych czasów w Polsce.

Zwycięskie wojny Napoleona, rozgłos jego wielkiej sławy zelektryzowały szczególniej szlachtę i mieszczaństwo polskie. Gdy po rozgromieniu prusaków pod Jeną wszedł do Polski Napoleon, witano go nie tylko jako bohatera ale odnowiciela. Dla narodu rozpoczynała się jakby nowa epoka, otrząsał się z naleciałości z czasów Stanisławowskich, ze zniechęcenia po upadłem powstaniu Kościuszkowskiem. Nowy prąd powiał, nowe nadzieje. Tworzono wojsko polskie, zaciągano się pod zwycięskie sztandary. Rok 1806, na którego niemal schyłku przypadła bitwa pod Jeną i rok 1815 z pogromem pod Waterloo są wielkiemi datami w ewolucji pojęć i porywów w Polsce. Po Jenię nastąpiło odrodzenie, wstąpiło nowe ciepło, nowy duch—po Waterlo znów osunęło się przygnębienie, ale naród duchowo już był silniejszy, hartowniejszy i po kilku latach dochodzi znów do wolnościowego porywu, 29 Listopada 1830 roku,

Wspomnienia zatem kapitana E. Blaza pochodzą z przejściowego okresu i jeżeli w nich znajdujemy pessymizm, to również znajdujemy i przesadne pojęcie o zachodniej kulturze ówczesnego ziemiaństwa. Zapewne były duże dwory, w których mówiono po francusku i znajdowały się bibljoteki złożone przeważnie nie z polskich książek. Ale były również setki skromniejszych dworów, w których dawne tradycje były przechowywane, w których dziedzic od rana do wieczora uganiał się po stajniach, stodołach, śpichrzach lub w zimie i lecie na stępaku objeżdżał pola. Z temi skromnemi dworami kapitan Blaze nie miał widocznie stosunków, bo ich nie opisuje. Również życie włościan przedstawia w niezbyt czarnych barwach i może się prędzej odnosić do życia włościan litewskich, białoruskich aniżeli polskich,

Zapoznajmy się jednak z wyjątkami ze „wspomnień". Oto co kapitan Blaze pisał o „wsi polskiej" i „dworze polskim".

„Kraj w którym czuliśmy się bardzo dobrze i bardzo źle, jest Polska. Niedostatek i zbytek, oto co się w niej spotyka na każdym kroku. Wsie są w niej prze-

rażająco brudne: w każdym domu włościańskim znajduje się izba a właściwie stajnia, w której mieszczą się krowa, konie, kury i t. d,, jedną czwartą tej izby zajmuje duży piec służący za łóżko dla całej rodziny — ojciec, matka, córka, zięć sypiają razem na usłanej na wierzchu słomie. Wyjdźcie z tej nory w której pozostawiliście naturę ludzką w jej pierwotnym stanie, a idźcie do dworu (nazywa go zamkiem—chateau), a znajdziecie w nim wyrafinowaną cywilizację, doborową bibljotekę, całą uprzejmość ludzi dobrze wychowanych, miłą rozmowę, wreszcie we wszystkiem komfort, o ile jest możebne posiąść go w Polsce. Podróż w tym kraju jest nieprzerwanym ciągiem przeciwieństw (dosłownie antitez).

Co prawda szlachta polska wciągu roku przebywa jedenaście miesięcy w swoich dobrach. Żyje wówczas bardzo oszczędnie, ale odłapuje slę w czasie karnawału i Świętego Jana, gdy jedzie do Warszawy, Poznania, Krakowa. W miastach każdy afiszuje rujnujący zbytek. Codzień powtarzają się zabawy, ulice przepełnione są wspaniałemi powozami i bywa prowadzona piekielna gra, wreszcie ziemianie powracają do siebie i starają się przywrócić równowagą w swoich finansach".

Co do życia we dworach, to Blaze pisze, że życie we dworach nie jest w Polsce bardzo przyjemne. Każda rodzina jest odosobniona w swojej wsi, a to dlatego, iż drogi są w opłakanym stanie, i można tylko oddawać wizyty w czasie mrozów, lub w lecie. Nie radzę profesorowi gastronomii jechać do Polski, aby wykładać w niej praktyczny kurs nieporównanych przepisów Brillant Savanir. Nigdzie, oprócz miast, niema rzeźników, piekarzy, trzeba żeby właściciel troszczył się o wszystko, co dotyczy życia fizycznego. Trzeba zabić wołu, aby módz dostarczyć rodzinie świeżego mięsa na trzy dni, a solonego na trzy miesiące — i tak ze wszystkiem".

Po uwagach o wsi i dworach Blaze przechodzi do kobiet i wyraża się: „W Polsce widziałem panny, które miały dziwny zwyczaj przylepiania sobie na twarzy pestek dobrze czarnych od gruszki; były te pestki podobne do muszek, któremi tatuowały się dawniej nasze damy dla podniesienia białości płci. Jestem zadziwiony, powiedziałem do jednej z nich, że możecie panie przykładać pestki w tych samych miejscach, co poprzedniego dnia. — Ale ja ich nie zdejmuję..

— Czyż pani nie myje nigdy twarzy?

— Panie, moja twarz jest zawsze czysta".

Co do handlu i dużej ilości cudzoziemców zaznacza: „W Warszawie połowa mieszkańców składa się z cudzoziemców, a przedewszystkiem z niemców. Żydzi wyłącznie, lub niemal wyłącznie, zajmują się handlem i są kupcami, oberżystami, krawcami, szewcami. Niemcy są lekarzami, felczerami, aptekarzami, adwokatami„.

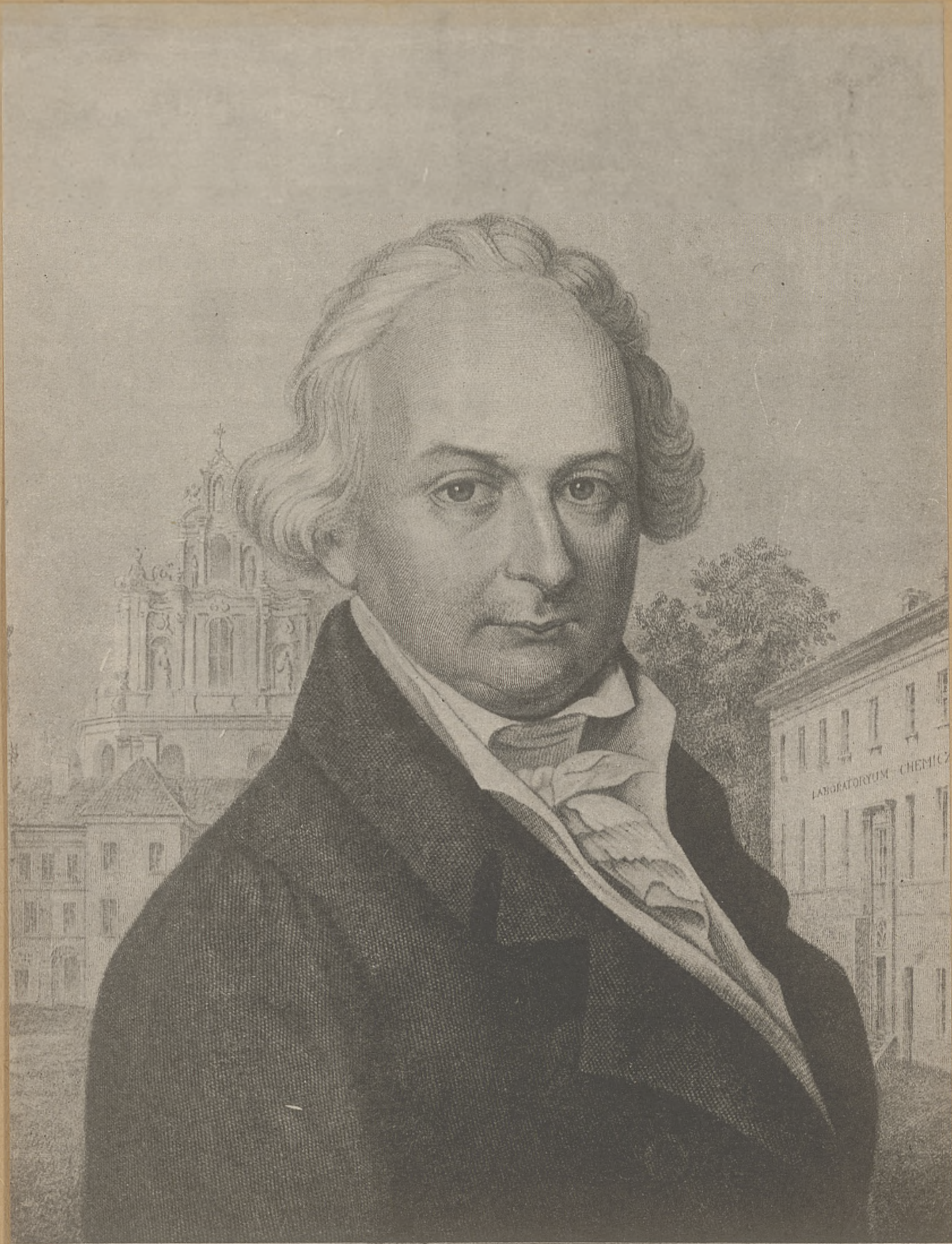
O koniach kapitan pisze: „Konie polskie są małe, zaprzęga je się po cztery w poręcz, konie te są wyborne; biegną bardzo szybko, żyją też wszystkiem, co im dają, nawet starą słomą, która służyła na pokrycie dachu — mogły one przenieść wszystkie niedostatki doznawane na wojnie, nasze zaś piękne konie normandzkie doszłyby do stanu szkieletów, gdyby im zabrakło owsa wciągu piętnastu dni."

Jeżeli chcielibyśmy robić wnioski z relacji kapitana Blaze to przedewszystkiem nasze społeczeństwo uległo od 1907 r. dużej demokratyzacji. Ludność wiejska wzbogaciła się i przedstawia dziś siłę; opiera się na posiadanej ziemi. Dawny stan tak zwany rycerski, szlachecki, stracił swoją odrębność. Zubożał i podupadł. Stosunki jednak wiejskie pod wieloma względami przypominają jeszcze początek ubiegłego stulecia. Drogi są jeszcze fatalne, komunikacje między wsiami na wiosnę przerywane, po wsiach brakuje mięsa i pieczywa. Co do handlu to przeważnie pozostaje w rękach żydów, jak i pozostawał. Fachowe jednak zajęcie, jak adwokatura, doktorstwo, felczerstwo i t. p. przestały być przywilejem cudzoziemców.

Polacy umieli się wyspecjalizować i zająć wybitne wyzwolone stanowisko.

Co do mierzynków polskich, to oddawna już mają wyrobione uznanie co do ich wytrzymałości, ale dotychczas niezajęto się niemi specjalnie.

Pojęcia hygjeny, sportu, kształtują się u nas powoli, nie mniej, niema już dziś takich panien, któreby dla muszki lub szminku nie myły twarzy.



Z galerji zasłużonych Polaków. Jędrzej Śniadecki.

Do Czytelników.

Rok 1920 dobiega kresu, rok dla prasy perjodycznej pełen przykrych wydawniczych niespodzianek, zawodów i udręczeń wszelkiego rodzaju.

Prasa jednak będzie trwać na stanowisku zaszczytnem i wysokiem, które ma sobie wśród narodów cywilizowanych wyznaczone. I w Polsce tak być musi — żadne wysiłki wrogie nie zniechęcą nas, przetrwamy kryzys, a społeczeństwo zrozumie i oceni prasy polskiej wytrwałe stanowisko.

Pol. Stow. Wyd. „Placówka" w myśl swych zamierzeń i celów nie schodzi z zajętego posterunku.

W roku bieżącym wydawaliśmy stale „Placówkę", pismo o wyższym poziomie literackim, przeznaczone dla inteligencji, oraz popularne wydawnictwa: „Naszą Bibljoteczkę Ludową" i „Bibljoteczkę Ciekawych Opowieści" a w chwilach najcięższych dla Ojczyzny, przez nas powołany do życia i wydawany, wychodził „Ochotnik", poświęcony sprawie obrony narodowej.

Społeczeństwo rozumiało nasze usiłowania. „Placówka" wśród najinteligentniejszych warstw zyskała szerokie rozpowszechnienie a obie „Bibljoteczki" i „Ochotnik" czytane były wśród miljonowych mas naszego ludu i żołnierzy.

Nie otrzymaliśmy ani jednego feniga subwencji państwowej i nie staraliśmy się o to.

Natomiast w ciągu roku 1920-go, jak nasze rachunki wykazują, złożyliśmy pokaźną sumę na ołtarzu ofiar narodowych w bezpłatnie udzielonych wydawnictwach, lub—w ogromnych bonifikacjach, czynionych instytucjom wojskowym (np. Generalnemu Inspektoratowi Armji Ochotniczej), Stowarzyszeniom Społecznym, Związkom, Organizacjom i t. p.

Suma tych ofiar wynosi w roku bieżącym 1,523,670 Mk., co uważamy za wskazane podać dziś do wiadomości publicznej.

Nie napraszamy się z naszemi wydawnictwami, wiemy bowiem, że ogół czytelników, tak jak dotychczas i nadal usiłowania nasze popierać będzie.

W końcu zaznaczyć musimy, iż w wydawnictwie „Placówka" wprowadzamy na rok 1921 pewne zmiany bliżej w prospekcie omówione, które niewątpliwie wpłyną dodatnio na poziom pisma i bardziej jeszcze zainteresują nasz najinteligentniejszy ogół.

Z wiarą, że musi tak być jak w niepodległem i wolnem państwie być powinno, przekraczamy dziś próg między 1920 a 1921 rokiem i śmiało idziemy naprzód, mimo chmur i zewsząd piętrzących się przeszkód.

W imieniu **Polskiego Stowarzyszenia Wydawniczego „PLACÓWKA"**

Redaktor Naczelny: Walenty Zieliński.

Zaproszenie do przedpłaty na rok 1921.

POLSKIE STOWARZYSZENIE WYDAWNICZE „PLACÓWKA”

PLACÓWKA

Rok X-ty wydawnictwa

dwutygodnik

(dzień wyjścia: 15 i 30 każdego miesiąca)

poświęcony zagadnieniom kultury i sztuki

przekształcony z dotychczasowej „PLACÓWKI” Ilustracji Polskiej, szeroko rozpowszechnionej wśród najinteligentniejszych warstw naszego społeczeństwa

wychodzić będzie od stycznia w formacie książkowym dużej 8-ki w objętości zwiększonej do 36—40 str.

(Dotychczas numer normalny liczył 22 str.)

Wykwintna szata zewnętrzna. Artystyczne dodatki.

(Dział aktualnych ilustracji, jako obniżający poziom, zostaje zniesiony).

Do każdego numeru „Placówki”

bezpłatnie dołączone będzie wychodzące już wydawnictwo

„Gospoda Poetów”

w celu zaznajomienia czytelników z ciekawemi dążeniami przy poszukiwaniu i torowaniu nowych dróg dla naszej twórczości poetyckiej.

„Gospoda Poetów“ oddzielnie, poza „Placówką“ ukazywać się nie będzie. Odpowiedzialność za kierownictwo „Gospody Poetów“ ponosi wyłącznie jej redaktor Xawery Glinka.

Chociaż wszystkie warunki u nas zmierzają dziś ku temu żeby uniemożliwić byt i rozpowszechnianie książek, pism perjodycznych i wogóle słowa drukowanego, nie zrażając się tem, idziemy z wiarą naprzód, uważając że nie powinniśmy schodzić z zajętej placówki.

W ręku inteligentnego ogółu leży poprzeć nasze usiłowania.

REDAKTOR NACZELNY: WALENTY ZIELIŃSKI.

Komitet redakcyjny: Ignacy Grabowski, Gustaw Olechowski, Stanisław Pieńkowski.

Uprasza się o rychłe nadsyłanie przedpłaty w celu unormowania nakładu, ponieważ dziś każda setka egzemplarzy ponad potrzebę wydrukowana przynosi tysiączne straty.

Prenumerata kwartalnie:

W stolicy i w kraju . . . . . . **Mk. 200** Za granicą i w Ameryce . . . . . **Mk. 340**

Dolicza się kwartalnie: w Warsz. za odnosz. Mk. 20, w kraju za przes. pocz. Mk. 40, za gran. i w Amer. Mk. 60.

Cena pojedyńczego egzemplarza **Mk. 40.**

Jest to cena, biorąc porównawczo, o połowę mniejsza niż cena takiejże książki na rynku księgarskim.

Nasze konto czekowe w Pocztowej Kasie Oszczędności № 38.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Nowy-Świat № 40. Telefon 319-87.

NA CZASIE

Walenty Zieliński.

Polska idzie.

Pochód uroczysty a na czele sztandary z napisami „Polska Wielkiem Mocarstwem", tylko pod tym napisem niema niestety wyjaśnienia cośmy dla Polski zrobili żeby ją na takie przodujące wśród narodów stanowisko wynieść.

W tym czasie przechodził drogą jakiś cudzoziemiec. Przystanął, skłonił mi się uprzejmie i poprosił o przetłumaczenie napisu. Zalałem się ponsem... Nie mogłem jednak skłamać, a uczyniłbym to z ochotą, kłamstwo przecież mogłoby się wydać ku mojej kompromitacji.

Powiedziałem co napis oznacza. Cudzoziemiec grzecznie zauważył, że zapewne pomyliłem się w tłumaczeniu i że chyba jest: „Polskę uczynimy Wielkiem Mocarstwem".

Nie odrzekłem nic, skryłem się ze wstydem w tłumie i dalej szedłem w pochodzie, zastanawiając się nad słowami cudzoziemca.

Cośmy uczynili?... Nie można wszak powiedzieć żeby nic, owszem, uczyniliśmy wiele, żeby Polska do stanowiska wielkomocarstwowego nie doszła. Cały nasz wysiłek, szczególniej ostatniego roku był pozornie potężnym rozmachem, w gruncie rzeczy, sprowadził bankructwo, czego dowodem nasz bilans za rok 1920.

Wszystkie nasze poczynania były zaznaczone jakąś mało-państewkową pyszałkowatością, przy akompanjamencie fanfar na cztery strony świata.

Jakaś operetka z królestwem Białogóry, Beocji i t. p. fantastycznemi obrazkami, niby film kinematograficzny przesuwała się dzień i noc przed naszami oczami, bez wytchnienia, w obłędnem jakiemś kole...

I było to jakby chochołowe granie, jakiś taniec zawrotny, jakieś przeklęte gubienie *Złotego Rogu... Miałeś chamie...*

I doprawdy słowa Wyspiańskiego prą dziś do mózgu pod ciśnieniem nieskończenie wielu ciężkich atmosfer, któreśmy dla naszego kraju stworzyli.

Dziwnie przeczuł poeta wielkim swym duchem, kto u nas dostanie *Złoty Róg*, i kto go w końcu zgubi...

Tak się też stało i sprawdza się na każdym kroku. Ci w których pokładaliśmy nadzieję, w których ręce oddaliśmy niemal losy nasze, których w zapędzie demagogicznym nazwaliśmy rdzeniem narodu i którzy sami upoważnieni przez nas nazwali się w bezbrzeżnej zarozumiałości najpierwszymi obywatelami kraju — lud, zawiódł wszystkie oczekiwania i w pojęciu bacznego widza z olbrzyma zmalał dziś do karła.

Dźwignąć ten lud do wysokości olbrzyma, powinno być naszem zadaniem. Lud to masa najliczniejsza w narodzie a odpowiednio pokierowany, narodu tego może stać się rdzeniem i ostoją. My, inteligencja, nie powinniśmy zaniedbywać tej sprawy i biernością swą względem ludu doprowadzić do tego, do czego inteligencja rosyjska swoją bezprzykładną biernością podczas rewolucji doprowadziła tłumy w Rosji.

Nie masa a rozum musi przewodzić i przewodzić będzie, a dzisiejsze prowizorjum, jak grzyb trujący na gnojowniku wojny wyrosły, zdeptany zostanie przez tryumfalny nasz pochód, gdy ze sztandarów swych usuniemy wszelkie pyszałkowate napisy, a wziąwszy się naprawdę do pracy u podstaw, nie zapomnimy o ludzie, którego samopas zostawiać nie można, bo wyrośnie z niego nietylko dziwoląg, lecz szkodliwy dla sprawy ojczystej megaloman.

W tej najliczniejszej naszej, jak las dziewiczy bogatej masie, doprawdy może być nadzieja Polski i jej odrodzenie, jeżeli masa, dziś jeszcze surowa bryła, odpowiednio w dłoniach Króla-Rozumu narodu się ukształci.

Kiedyś, kiedyś, dzięki swemu ludowi, może Polska będzie mogła wypisać na swych sztandarach, że jest rzeczywiście *Wielkiem Mocarstwem.*

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Polska idzie...

Chciałaby w końcu koleją uciec od tego zabijającego ją chaosu, dręczącej nieuczciwości, lenistwa i rujnujących poczynań. Cóż?... Kiedy tak jest biedna i uboga, że na podobny luksus pozwolić sobie nie może.

O 100 procent podnieśli taksę kolejową! Bez ceremonji, żeby deficyt swej lichej gospodarki z kieszeni niewinnego pasażera pokryć. Ogłosili na kilka dni przedtem. Kto w drodze się znalazł nieprzygotowany na to, nie mając pieniędzy pozostał w położeniu bez wyjścia.

Oto próbka, jedna z wielu, bezwzględności i nie liczenia się z ogółem, naszych przedsiębiorstw państwowych. Im jest wszystko jedno, bo przecież w Polsce nie koleje dla publiczności, ale publiczność dla kolei.

A co najgorsze, podwyżka kolejowa była nowem hasłem i upoważnieniem do podniesienia cen w całem państwie.

Oto jeden jeszcze z ces. król. wrzodów na ciele Polski. Operator, który ten wrzód wytnie, będzie największym dobroczyńcą naszym i bohaterem narodowym, który umożliwi Ojczyźnie normalny pochód do dobrobytu i szczęścia.

Polska idzie... pod krzyżem upada i nawet niema Szymona Cyrenejczyka, żeby jej dopomógł nieść gniotący ją ciężar, cierniowym szlakiem naszej Golgoty.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Teatr Polski: „Rosmersholm“, dramat w 4-ch aktach Henryka Ibsena. Teatr Mały: „Powódź“, komedja w 3-ch aktach H. Bergera.

Albo się z życia kpi i szuka się najdogodniejszych wyjść ku nieznanej wieczności z tego „najlepszego z możliwych światów“, albo też nakłada się włosiennicę... innym i zmusza się ich do wysłuchiwania pseudomoralizatorskich kazań. Berger się śmieje, choć mu reżyser teatru Małego, p. Bolesławski, w tem przeszkadza; Ibsen zaś chce aby publiczność płakała przejęta dreszczem zgrozy, lecz publiczność pomimo wysiłków pana Adwentowicza—zasypia. Prawda, nie wszyscy używają zasłużonego w teatrze wywczasu, bo są i tacy którzy się radują, że ibsenowskie ziarenko hojną ręką dotąd sieją nasi artyści, bo są i tacy, których nic dotąd nie zdołało wyrwać z cielęcego żakostwa. Jeżeli Ibsen „bierze“ to właśnie tych jeszcze, którzy zostali zahypnotyzowani w epoce grasującego u nas przed dziesięciu laty dekadentyzmu a nie mają w sobie ani tyle woli, ani zdrowego a samodzielnego poglądu na rzeczy, żeby mogli otrząsnąć z siebie te zabójcze działania snobizmu i bezkrytyczności jakim tak chętnie ulega społeczeństwo polskie.

Bo czemże jest Ibsen? Dramaturgiem? Nie. Tak zwany dramat jego oparty na rozumowanym lub psychologizowanym djalogu i eposie, czyli opowiadaniu o tem, co się dzieje za sceną, nie ma w sobie podkładu dramatycznego, niepodobna bowiem za sytuacje dramatyczne uważać te sceny, w których grą słów i powtarzaniem „straszne”, „potworne“ i t. p. autor chce zastąpić brak nerwu dramatycznego, w swej twórczości, Nie jest również znawcą dusz ludzkich skoro zawsze i wszędzie miast p r z e d s t a w i a ć trafnie zaobserwowane charaktery, zmusza je do wygłaszania swoich własnych domorosłych poglądów na życie. Nie można go też nazwać poetą, bo grzebię niby żuk-gnojowiec w przydrożnym kale i tylko donośnym brzękiem podczas tej bezpłodnej pracy zwraca na siebie uwagę. Jest to niedouczony mizantrop, który pour passer le temps poświęcił się pornograficznej grafomanji. A rozgłos Ibsena powstał stąd, że przyszedł ze swoją gadatliwą sztuką wtedy, kiedy społeczeństwo pod wodzą Niezsche'go rozbrykało się w poszukiwaniach nowych wartości i odkryło „*die blonde Bestie*”. Ibsen wygrał wielki los na loterji snobizmu i stał się bożkiem za jakiego do dziś dnia jeszcze często uważają go ludzie grzeszący brakiem własnego kręgosłupa. Krytyka niemiecka zbyt wielkie znalazła dla siebie pole do popisu na tematach ibsenowskich, by mogła go się dziś wyrzec—Niemcy niechętnie przyznają się do zasadniczej swej wady: rozpisywania się w grubych tomach o... niczem; a Polacy ślepo idą za wskazówkami tomów niemieckich, gdyż w większości wypadków tylko ten „piękny” język posiadają i przy jego pomocy mądrość swoją o sztuce na zachodzie bezkrytycznie czerpią.

Chwila obecna zdaje się jednak otwierać nowe przed nami drogi: kantjanizm, nitzscheanizm a wraz z tem i wszelka inna tandeta wypocona z ustroju pangermanistycznego spłynie w niepamięć uniesiona oczyszczającym namuły i naleciałości prądem samopoczucia narodowego. W tej chwili postawi historja naszej kultury krzyżyk nad „dramatem“ Ibsena—żadna szanująca się scena polska nie nawróci do koturnowych „Rosmersholm'ów”, żadna scena przedsiębiorcza nie zwabi widza na „Upiory“. Dzisiaj żal mi tylko p. Adwentowicza, który nie wiedział jak „wydeklamować“ z siebie urojone fatum jakiem go straszył autor; żal mi szczerze prawdziwego artysty Bończy-Stępińskiego, który od początku do końca miał bardzo nieszczęśliwą i frasobliwą minę, nie zdając sobie snadź sprawy *cui bono* znalazł się na scenie w tej roli; żal p. Solskiej, której Ibsen bezpowrotnie ukradł wiele godzin pracy i przytłumił swoją koturnowością szczery jej talent.

Że jednak trudniej człowieka rozśmieszyć niż wzruszyć, tem większy tryumf odniósł Berger przez swoją „Powódź”. I gdyby pan Bolesławski, który wyreżyserował z nadzwyczajnym talentem tę komedję, zdołał we własnej roli do końca zachować swój charakter wydrwisa i nie usiłował tanim efektem sprowadzić na publiczność nastroju grozy—wyraz komedjowy byłby całkowity, bo autor uczynił wszystko, co wprowadza widza w dobry humor, a p. Samborski swym zaraźliwym amerykanizowanym śmiechem beztroskiego fermera taki rozpoczął koncert wraz z podtrzymującem go automatycznie audytorjum, że wielkiego trzeba było wysiłku ze strony reżyserji, aby widza przekonać o istnieniu powodzi poza barem I tu właśnie leżał błąd, który popsuł doskonałą komedję. Autor chciał kpić, a p. Bolesławski chciał być mentorem. Autor był w zgodzie z dobrze usposobionym widzem, a p. Bolesławski chciał widzowi nawymyślać. I pocóż to wszystko? Czyż ktoś mógł choćby na chwilę przypuścić, że w trzecim akcie komedji zobaczy potopionych nieboszczyków, jak to zapowiadał w akcie pierwszym główny reżyser komedji w barze amerykańskim? Dyssonans pomiędzy założeniem a akcją nikogo nie uszlachetnił, nikogo nie na-

wrócił, nikomu nie otworzył oczu na „szelmostwo“ natury ludzkiej, natomiast musiał wywołać niesmak i nieufność... przecież nie do autora. Pedagogiczniej jest ośmieszać słabości ludzkie, niż nad niemi załamywać ręce. Bo człowiek nie tyle boi się spowiedzi, pokuty i więzienia, jak oślich uszu i pręgierza w błażeńskim kostjumie. Wystarczyło dla wzruszeń szlachetnych jednej nuty istotnie pięknego sentymentu, kiedy miłość uliczniczniey tuliła się w ufności do ramion byłego kochanka na tle arji naiwnie dochowującej wiary Butterfley. Tyrady o nowych drogach dla ludzkości w tonie kaznodziejskim wygłoszone na tle orgijnego pijaństwa trąciły buchającym alkoholem z ust członka towarzystwa poczwórnej wstrzemięźliwości. Życie jest naturą— niech je według zdolności swojej komentuje dla siebie widz, nie artysta sceniczny.

Mieczysław Jarosławski.

Camera lucida.

Boże Narodzenie, Nowy Rok — piękne symbole, odrodzenia, zbawienia, nadziei, postępu, blizkiej wiosny...

Tkwi trudna do zrozumienia zagadka w pokoleniu, które dziś żyje i działa. W dni wojny, śród pól i okopów śmierci, w piekle, wobec którego fantazja Dantego wydaje się dziecinna, ogromne męstwo, wytrwałość, poświęcenie. Po wojnie zadziwiająca słabość, poddanie się, tolerancja zła i nikczemności. Czemuż przyglądają się cienie padłych na polu walki bohaterów? Ohydnej grze oszustów politycznych, robactwa moralnego, robiącego swoje interesy giełdowe na hakatombie ofiar. Po Verdunie — Konferencja Paryska, po epopei — jaskinia i targ łotrów, czy głupców. Pisze o niej człowiek tak rozważny jak Dillon.

„Konferencja przedstawia się nam jako czynnik obliczony na podkopywanie wyższych interesów osłabienia poczucia moralnego obecnego pokolenia, rozpalenie nienawiści narodowych i rasowych, wykopanie przepaści pomiędzy klasami i masami i szerokie otwarcie wrót falom międzynarodowego anarchizmu. Prawda, sprawiedliwość, równość i wolność zostały skręcone i ściśnięte w służbie dla celów ekonomiczno-politycznych. W Europie każdy naród podniósł rękę przeciwko swym sąsiadom, a każdy lud — przeciwko swej klasie rządzącej. Każdy rząd przystosowuje swą politykę do potrzeb przyszłej wojny, która jest uważana powszechnie za nieunikniony wynik pokoju Wersalskiego. Imperjalizm i militaryzm zapuszczają korzenie na gruncie, gdzie były dotąd nieznane. Słowem, ideał pruski zamiast być zniszczony, został przyjęty przez jego pozornych wrogów, a niezmierne ofiary, poniesione przez bohaterstwo armji większości narodów zostały użyte na to, żeby jednej połowie świata dać słuszny powód do powstania przeciw połowie drugiej.”

O tej wydętej i rozreklamowanej przez żydków Lidze Narodów powiedziano: organizacja do rabowania narodów. Proszę się domyśleć, kto to powiedział: dyktator bolszewicki Lenin. I to jest racja negatywna bolszewizmu: nikczemność przeciwników, raczej wspólników w rabunku. Ci gentelmani w płaszczach humanitarnych i filantropijnych umieją wypić jajko i dziurki nie zrobić. Jednakże jajko czuje, że je wypito; na to niema rady, więc przyczyny niechybnie zrodzą skutki.

W tej zgniłej atmosferze brutalnego i dzikiego prostactwa i zarazem wyrafinowanego łotrostwa dawnych sfer rządzących, wychowanków epoki opartej na teorji „materjalizmu dziejowego”, w tem powietrzu zatrutem oddechem bandyty, mordercy i pollitycznego rzezimieszka w najwytworniejszym londyńskim kostjumie znalazła się i słaba, wyniszczona cywilizacyjnie, przez wypadek do rządu powołana Polska. Zdawało się, że nic prostszego, jak zorganizować się szybko pod słońcem ożywczem wolności, jak z nienawiści do niewoli i z ciężarnego doświadczenia czerpać mądrość twórczą i energję zapobiegawczą. Nic z tego. Powietrze zatrute dosięgło i tutaj, czyniąc tym większe spustoszenie, że organizm był bardziej nadwątlony. Zaledwieśmy skończyli z niewolą zewnętrzną, wpadliśmy, ze Scylli w Charybrę, w wewnętrzną moralną deprawację.

Camera obszaru! oto wyraz dla chwili dzisiejszej. Do maszyny rządowej, zasadą doboru, ściągnęły ze wszystkich zakątków Polski, a i z poza Polski, wszystkie gatunki zwierzo-ludów drapieżnych na żer. Tylko powinowactwem, psychizmem, podobieństwem instynktów można wytłumaczyć sobie podobne anomalje jak np. współdziałanie ludzi konserwatywnych z demagogami, członków Enkaenu z towarzyszami socjalistycznymi. Tylko karzełek może widzieć w tem jakąś ideę, coś nakształt przywiązania; to żer, żer! Świat nie należy do nikogo, bo jest za wielki i za niezgłębiony, ale nawet jego mała cząsteczka nie może być rządzona przez głupców. Sprytne łotry co innego, ci mają swoje beaux jour'y.

W Grecji, od złego powietrza padł nawet Venizelos, człowiek na miarę Fidjasza, którego jest zabłąkanym w stuleciu XX potomkiem. Nie wypadkiem żył w tym kraju, w Atenach, Tymon, szukający wdzięczności bodaj u wilków i lisów, bo nie wierzył w wdzięczność ludzi. Przykład Venizelosa powinien nam wyjaśnić położenie. Jesteśmy w wirze dziejowego huraganu. Zorjentowanie się jest już gruntem dla nadziei.

Epoka łez anhellicznych umarła przynajmniej na czas jakiś, do nowego zmartwychwstania. Z opłatkiem wigilijnym wyjść nie możemy na forum, do zbiorowości, są matfje, bandy, partje—stada wilków; komuny ludzkiej do opłatka niema.

Opłatkiem dzielić się mogą tylko niektórzy w katakumbach, w gronie szczupłych, gdzie jeden drugiego nie nienawidzi.

Gdzie niema Boga, pocóż komedja z opłatkiem? I... marsz do kabaretu! *I. Gr.*

Otwarcie szkoły morskiej w Tczewie.

Przed kilku miesiącami zaledwie uzasadniłem potrzeby otwarcia u nas szkoły morskiej.

Sprawa okazała się istotnie żywotną i dziś z tem większą radością, śpieszę podzielić się z moimi drogimi czytelnikami opisem uroczystości poświęcenia gmachu szkolnego i podniesienia na nim bandery.

Po szarych, ciemnych, listopadowych dniach zrana d. 8 b. m. ukazało się w Tczewie słońce i oświeciło wysoką elewację gmachu szkoły morskiej, gdy my liczni goście z Warszawy, przybyliśmy tam na uroczystość poświęcenia szkoły.

Gmach szkoły doskonale się prezentujący, w dobrem miejscu jest położony — obok parku miejskiego, posiada obszerny plac do ćwiczeń i parad.

Na placu tym zastaliśmy uszykowany w szeregi dziarsko prezentujący się, cały komplet—w liczbie osiemdziesięciu słuchaczy szkoły naszych przyszłych marynarzy.

Wprowadzono nas do pięknej, obszernej, widnej sali gimnastycznej, dziś zmienionej na salę przyjęć...

Goście honorowi — w tej liczbie przedstawiciele marynarki angielskiej z komendantem Worton'em naczele, zajęli miejsca i o godz. 11 przed poł. Ks. Kupczyński poseł Ziemi Pomorskiej odprawił nabożeństwo.

Nastąpiło poświęcenieprzy gotowanych Sztandarów, które wyniesiono na wysoką wieżyczkę na szczycie gmachu, a na niej ustawiono wysoki maszt, dominujący nad całą okolicą.

Zebrani, wyszli przed gmach, marynarze znowu ustawili się na placu. Orkiestra zagrała hymn narodowy, głowy obnażono, bandera nasza powoli, majestatycznie zaczęła po raz pierwszy podnosić się aż do szczytu masztu i zatrzepotała w słońcu na tle nieba, dominując nad całem miastem.

Szkoła liczy osiemdziesięciu uczniów i wszyscy oni mieszkają w szkole.

Obszerne sypialnie, pełne światła audytorja, szerokie korytarze, wszystkie warunki dobrej szkoły znalazłem na miejscu. Są to warunki natury, że tak powiem, fizycznej. Ale co z największą radością zauważyłem jako — doświadczony pedagog — to zapał do nauki i swych obowiązków nietylko ze strony uczących się, ale i nauczających. A co za tem idzie — młodzież kocha swoich przewodników, wierzy i ufa im. A to są dwa kardynalne warunki, stanowiące o doskonałości szkoły. I tu wspominając niedawno, tragiczne dni Sierpniowe, i obronę Lwowa przez dzieci — nie mogę nie podkreślić, iż jeżeli młodzież nasza kochana jest tak bohaterską, patrjotyczną i gotową do poświęceń, to w dużej mierze jest to zasługą pedagoga polskiego.

Cześć nauczycielowi polskiemu!

Te wszystkie warunki, jak powiedziałem wyżej, stanowiące o doskonałości szkoły, znalazłem w świeżo otwartej szkole morskiej w Tczewie — i pod jak najlepszem wrażeniem wyszedłem z jej murów.

Włodzimierz Nałęcz.

OD ADMINISTRACJI.

Numer niniejszy „Placówki“ wyszedł w zwiększonej objętości, jako podwójny zeszyt XXII—XXIII ostatni w roku bieżącym. W dniu 15 sierpnia gdy wróg stał u bram Warszawy jeden numer „Placówki“ nie wyszedł, natomiast wszyscy prenumeratorzy otrzymali wzamian pierwsze dziesięć numerów „Ochotnika“, poświęconego sprawie obrony narodowej. Stąd więc nie 24 a 23 numery wydaliśmy w r. bież.

Treść zeszytu XXII—XXIII-go.

Na czasie.

Ilustracje w tekście.

Warunki prenumeraty: od stycznia r. 1921-go.

W stolicy i w kraju: Kwartalnie **Mk. 200.—** Za granicą i w Ameryce: Kwartalnie **Mk. 340.—** Dolicza się kwartalnie w Warszawie za odnoszenie **Mk. 20.—**, w kraju za przes. poczt. **Mk. 40.—** za granicą i w Ameryce **Mk. 60.—**. ✲ ✲ Konto czekowe w Pocztowej Kasie Oszczędności № 38.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Nowy-Świat Nr. 40.
TELEFON 319-87.

Redaktor Naczelny wydawnictw P. S. W. „Placówka“: **Walenty Zieliński.**
Komitet redakcyjny: **Ignacy Grabowski, Gustaw Olechowski, Stanisław Pieńkowski.**

POLSKIE STOWARZYSZENIE WYDAWNICZE PLACÓWKA

Odbito czcionkami „Drukarni Rotacyjnej“, Marszałkowska 148.